

poprosto

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE
ZARZĄD GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Rozmowy o szczęściu (9)

Pytania zadawane nam...

ZENONA MACUŻANKA

Sądę, iż sam tytuł dyskusji jest dość niezręczny. Słowo: „szczęście”, „być szczęśliwym” brzmi w życiu codziennym trochę jak banał, zawiera w sobie coś melodramatycznego; wymawiamy je niechętnie i z zawstyżeniem. Może dlatego, że było nadużywane, że roilo się od niego w tzw. literaturze drugorzędnej. Wszyscy jednak rozumiemy, że chodzi tu o to, co oznacza znalezienie właściwego miejsca w społeczeństwie — o znalezienie właściwego życia osobistego, o to po prostu, aby czuć się potrzebnym społecznie i osobście, aby dzięki temu uczestniczyć w życiu w sposób możliwie najpełniejszy.

Któż z nas we wczesnej młodości nie marzył o tym, aby dokonać czegoś wielkiego, czegoś prawdziwego, ktoś nie pragnął być naprawdę pożyteczny dla ludzi? Któż przy tym nie marzył o spotkaniu wielkiej i prawdziwej miłości?

Dużą rolę w naszych młodzieńczych marzeniach odgrywa literatura piękna. Czy sprawy te były tylko w marzeniach i w literaturze? Czy w życiu młodych ludzi naszego pokolenia nie ma tego romantyzmu piękna? Myślę, że jest go dużo, choć często „na codzień”, nie uświadomiamy sobie tego.

Jakież piękne było życie naszego pokolenia studenckiego w latach 1947—1951. Był to okres dużego fermentu na uczelniach, wstępnych bojów o marksistowską metodologię, o wyrzucenie z murów uczelni wszelkiego idealizmu i obskurantyzmu. Czuliśmy się wówczas nie tylko współgospodarzami uczelni. W naszej walce o nowe metody nauczania, o marksistowską metodologię czuliśmy się — bez przesady — żołnierzami rewolucji. Mieliliśmy

często — dziś wspominam to z rozrównieniem — uczucie, jakbyśmy dokonywali czynów na miarę światową. Ileż popełniliśmy błędów, nieaktów, ile rzeczy widzieliśmy w skrzywionym zwierciadle! Ale ile było jednocześnie fantazji, pasji. I przecież po naszej stronie stała prawda.

Gdy spotykamy się dziś — z rozrównieniem wspominamy tamte czasy. Byliśmy wówczas naprawdę szczęśliwi. Chciało się żyć, chodzić na uczelnię, przyjaźnić się i razem pokonywać trudności. Przyjaźni zawarte wówczas trwają do dziś, prawdziwe i głębokie. Łączyła nas nie tylko walka o wspólną sprawę. Łączyło nas to, że zdobywaliśmy nową wiedzę o życiu, że pokonywaliśmy trudności w rodzinnym środowisku, czy w życiu na uczelni.

Różne były nasze środowiska i różne trudności. Niejedna rodzina zżymała się na myśl, że ich córka czy syn należy do ZWM czy do partii. Nielatwo było walczyć z religijną rodziną o prawo do postawy materialistycznej, wolnej od kościoła i religianstwa. Było trudno, a jednocześnie było pięknie. Mieliliśmy poczucie, że stajemy się ludźmi samodzielnymi, bogatszymi wewnętrznymi. Wiedzieliśmy, że zdobywamy prawdę o życiu, prawdę, która pokazuje, jak je przekształcać.

Największym czynił życie prostszym, choć tak bogatym. Ukazywał sens ludzkich poczyną i sprawdzano marzeń. Pierwsze poznawane prace Marksa robiły tak wielkie wrażenie, że czytaliśmy je jak najwspanialszą poezję. To wszystko dawało poczucie pełnego sensu życia, poczucie, że tkwimy w jego głównym

nurcie, że życie nie przemija obok, ale że znamy jego puls i wpływamy na nie. Jakże nas bolała wówczas strata każdego towarzysza, jak gorzko było, kiedy zawiódł. Nie do pomyślenia było życie poza kolektywem, organizacją, sprawą.

Wiele rzeczy upraszczaliśmy wówczas sobie, wiele uproszczeń zostało i narosło jeszcze dziś wśród kolegów w ZMP. Myślę, że wielu z nas, ba, większość chyba oburzyłaby się, gdyby ktoś stwierdził, że u nas w ustroju socjalistycznym można być nieszczęśliwym. Nieszczęśliwym mógł być — w naszej niezapisanie teorii — tylko mieszczuch, rozmarzony inteligent lub tzw. ciapa życiowa, a człowiek czynu i walki nie może czuć się w naszym ustroju nieszczęśliwym. Nie ma prawa. Zresztą ten „błąd w rachunku życia” popełniliśmy nie tylko my. Popelniali go również pisarze tworząc bezkonfliktowe powieści, bądź też pokazując uciurzone, mdłe konflikty ludzkie. Teorie nasze i tych pisarzy obalane były przez życie, ale w zaciętrzewieniu — jeśli nawet widzieliśmy to — na wzór Hegla uważaliśmy, że „tym gorzej dla życia”.

Jeśli dobry, aktywny i wyrobiony ZMP-owiec zakocha się w wierzącej i aktywnej katoliczce — a wiemy przecież, że bywa tak często — wówczas od jego postawy i od wielu rzeczy zależy, jak rozwiąże ten konflikt. Na pewno nie jest mu łatwo. Bywa przecież, że człowiek ze względów ideowych wyzka się miłości, a sprawa ta zostawia w jego sercu mocny ślad. Bywa i tak, że idzie na kompromis, a potem toczy ze sobą i z drugim człowiekiem walkę, bo nie można żyć razem, nie mając wspólnych ideałów. (Dokończenie na str. 7)

Już wkrótce egzaminy...

Zwiększyć wymagania

Już od kilku tygodni coraz później gasną światła w pokojach domów studenckich całej Polski. W tym czasie w bibliotekach wzrasta gwałtownie ilość wypożyczanych książek, czytelnicy od rana zapalniają się do ostatnich miejsc. W tramwajach, w stołówkach, pod kinami i na spacerze słychać rozmowy o sesji i egzaminach. W tym zrozumiałym fermentie warto przypomnieć sobie niektóre problemy związane z letnią sesją egzaminacyjną 1955 r., przemysleć co wyróżnia tę sesję od poprzednich.

Z roku na rok wzrastają nakłady środków materialnych na wyższe szkolnictwo, ale i wraz z tym zwiększają się wymagania naszej gospodarki i kultury wobec absolwentów wyższych uczelni. Można powiedzieć, że rok 1955 staje się rokiem przełomu w walce o jakość szkolonych kadr. Teraz już nie wystarczy uczenie się tylko do egzaminów, jak to często było praktykowane: wiedzę trzeba opanować po mistrzowsku. Nieaktualne staje się dziś studenckie hasło: „być zdać — i tak dostanę przydział pracy”. Konieczny jest teraz hart i bojowość, które uzbrają do walki z trudnościami. Na czoło wysunął się problem nie ilości, a jakości absolwentów opuszczających wyższe uczelnie.

Nasza potężniejsza z roku na rok gospodarka domaga się służnie kadr coraz lepiej kwalifikowanych, coraz bardziej samodzielnych, twórczych i ideowych. Uczelnie Polski muszą to potrzeby zaspokoić. Zrobiono już wiele, aby zrozumiała to młodzież studencka i profesorowie.

Służnie zauważył przewodniczący ZU ZMP przy WSR we Wrocławiu, że: „ciężar przedsesyjnych przygotowań i sesji przesunął się z placuzyjnych zagadnień technicznych, jak np. sprawa skryptów, pokojów do nauki, atmosfery podczas sesji — w dziedzinę spraw szerszych: przydatności do życia zdawanych egzaminów, zastosowania nauki do przyszłych wymagań praktyki”.

Coraz więcej studentów rozumie, że trzeba się coraz lepiej uczyć. Ogronną rolę mobilizującą w rozumieniu wzrastających potrzeb na-

szego życia mają odbywające się coraz częściej na wszystkich uczelniach spotkania absolwentów ze studentami. Młody lekarz — studentom AM, młody inżynier — studentom Politechniki, młody agronom — studentom WSR przedstawia swoje konfrontacje wiedzy z praktyką, powtarzając im ciągle jedną radę: chcąc być w życiu wartościowym człowiekiem — ucz się coraz więcej, bądź mądrzejszy!

Powstaje teraz pytanie: czy hasła walki o wyższą jakość szkolonych kadr dotarły do studentów? Czy zostały przez nich przyjęte? Czy stworzono wszystkie obiektywne przesłanki, aby sesja letnia 1955 roku była poważnym krokiem w realizacji tych nowych zadań? Zachodzi obawa, że w wielu wypadkach jeszcze nie.

Krąży jeszcze wiele fałszywych teoriek. Wielu studentów rozumiało dyskusję w POPROSTU o systemie studiów jako sygnał do zaprzestania intensywniejszej nauki zwalając całą winę za posiadane braki na system studiów.

Szkodliwe są pokutujące jeszcze tu i ówdzie na uczelniach teoretyki o tym, że profesor, który „obiewa” przyczynia się do niewykonania planu. Te poglądy — popularne na szczęście w dość wąskim kręgu — powodują stosowanie przez niektórych profesorów taryfy ulkowej dla studentów, zaniżanie wymagań egzaminacyjnych, prowadzenie „za rączkę” leniwych i obiboków.

Czas najwyższy zdać sobie sprawę z tego, że jest to głęboko niesłuszne. Takie „wykonywanie planów”, szkolenie kadr na siłę, niezależnie od realnych możliwości — mści się w praktyce na „holowanym specjalistę”, przynosząc przy tym niemało kłopotu a niekiedy i szkody zakładom pracy.

Podczas rozmów w wielu środowiskach akademickich domagano się zwiększenia wymagań egzaminacyjnych, podniesienia taryfy dla zdających. Często mówiono: niech studenci zdają egzamin nawet po kilka razy (bez ustawienia ocen niedostatecznych do indeksu). Przysporzy to kłopotów organizacyjnym uczelni, ale opłaci się naprawdę

sowie. Trud włożony przy zdawaniu kilkakrotnie egzaminu u-stokrotnie jego wartość w późniejszej praktyce.

Nasze życie zwiększa wymagania. Dlatego kadr młodej inteligencji. Dlatego egzaminatorzy muszą zwiększać wymagania wobec studentów, a studenci wobec siebie samych. Niech będzie trudniej zdawać w sesji letniej 1955 r. niż roku temu.

ZDZISŁAW GRZELAK



Sześć tysięcy wrocławskich studentów spotkało się na wielkiej zabawie w Hali Ludowej. Zabawą tą zakończono „Festyn Zaków Nadodrzańskich”, o którym informujemy na stronie 7-ej.



Nowy, piękny dar otrzymaliśmy od Związku Radzieckiego. Osiedle mieszkaniowe „Przyjaźń” zbudowane przez budowniczych Pałacu Kultury i Nauki zostało przekazane Polsce.

Od nowego roku akademickiego zamieszkają w nim studenci uczelni warszawskich. (O nowym mieszkaniu studenckim czytaj na str. 3).

Prof. dr WŁODZIMIERZ ZONN

O życiu w kosmosie

Jakkolwiek sprawa, którą mamy zamiar się zająć — istnienie życia poza Ziemią — jest dotychczas nierozstrzygnięta i sporna, wzbudzająca wiele wątpliwości i nawet sprzeciwów, niesposób pominąć ją milczeniem chociażby dlatego, że jest jednym z najaktualniejszych zagadnień naszego życia. Aktualność tej sprawy wynika z jej ogromnego znaczenia światopoglądowego.

Czasz kiedy Ziemię traktowano jako ciało wyróżnione, jedyne w swoim rodzaju we wszechświecie, minęły bezpowrotnie. Przyzwyczajaliśmy się już do traktowania Ziemi jako ciała równorzędnego z innymi planetami naszego układu lub innych układów planetarnych. W pewnej dziedzinie jednak skłonni jesteśmy do świadomego lub nieświadomego czynienia wyjątku: wtedy właśnie, gdy chodzi o sprawę życia.

PRZECIW WSPÓŁCZESNYM „GEOCENTRYKOM”

Myśl o możliwości istnienia życia na innych planetach dla wielu z nas wydaje się nieco dziwaczna i wywołuje nawet gęś skórki. Tym bardziej gdy myślimy o istnieniu twórców rozumnych, może nawet znacznie rozumniejszych niż my; twórców, w oczach których nasza inteligencja i wiedza będą — tym, czym jest inteligencja i wiedza psów lub małp w oczach człowieka... W tej dziedzinie mamy wielu niepoprawnych „geocentryków”, mimo że zdrowy rozsądek podsuwa nam zupełnie co innego.

Czyż do pomyślenia jest, aby życie było przywilejem jednego tylko ciała w całym kosmosie? Jeśli w dziedzinie przyrody nieożywionej spotykamy się z tylu rozmaitymi formami materii, od najprostszych do najbardziej skomplikowanych, to czy mamy prawo twierdzić, że w

dziedzinie przyrody ożywionej kosmos jest czymś znacznie uboższym i prymitywniejszym niż Ziemia? Chyba, że uznamy Ziemię za twór wyjątkowy, co jest równoznaczne z powrotem do geocentryzmu i przekreśleniem niemal wszystkich zdobyczy nauk przyrodniczych ostatnich czasów.

Niezależnie więc od tego, co nam w tej chwili dają obserwacje i dociekania, trzeba sobie przyswoić tę banalną prawdę, że życie nie jest czymś, co wiąże się wyłącznie z Ziemią i że inne ciała niebieskie mogą i muszą być siedliskiem istot żywych od najprostszych do bardzo skomplikowanych. Wydaje się, że przyswojenie sobie tej prostej prawdy jest czymś koniecznym do wyzbycia się nieufności, jaką dotychczas większość ludzi żywi do tej sprawy.

Mówiąc, że inne ciała niebieskie mogą i muszą być siedliskiem istot żywych nie mamy bynajmniej na myśli wszystkich ciał niebieskich. Jest rzeczą oczywistą, że np. na gwiazdach nie może być życia, gdyż panują tam temperatury rzędu tysięcy stopni. W takich wysokich temperaturach z trudem utrzymują się najprostsze związki chemiczne, nie ma więc mowy o możliwości istnienia związków bardziej skomplikowanych, z których składa się każda żywa istota. A że ogromna większość ciał dostępnych naszym obserwacjom to właśnie gwiazdy, nasze dalsze rozumowania musimy ograniczyć do obiektów bliższych, nie będących gwiazdami, a więc do planet. Wśród nich wyróżniamy dwie o warunkach najbardziej zbliżonych do Ziemi i najbliższych Ziemi. Nie dlatego abyśmy zupełnie wykluczyli myśl o możliwości istnienia życia na innych planetach, lecz głównie dlatego, że planety te jako najbliższe najlepiej dają się obserwować.

O Wenus niestety niewiele da się powiedzieć. Planetę tę otacza bardzo gęsta warstwa atmosfery, która rozprasza niemal całe padające na nią promieniowanie Słońca. To, co obserwujemy jako Wenus — jest właściwie jej atmosferą. Właściwej powierzchni planety w ogóle nie obserwujemy. Z tego powodu nie wiemy co się dzieje na jej powierzchni, wszelkie zatem przypuszczenia co do istnienia tam życia i form tego życia są jedynie mniej lub bardziej obowiązującymi przypuszczeniami.

SPÓR O ISTNIENIE OBSZARÓW ŻYCIA

Inaczej przedstawia się ta sprawa w przypadku Marsa i dlatego planecie tej poświęcimy więcej uwagi. Wiemy, że Mars posiada atmosferę dość rzadką, której ciśnienie na powierzchni tej planety wynosi około 1/10 ciśnienia atmosferycznego („ziemskiego”). Pod tym względem panują tam warunki zbliżone do tych, jakie mamy na najwyższych szczytach górskich na Ziemi, a dokładniej mówiąc — na wysokości około 15 km nad poziomem morza. Atmosfera Marsa zawiera tlen i parę wodną. Średnia roczna temperatura na Marsie jest dość niska, około —20°C, jakkolwiek w pewnych obszarach panować może temperatura znacznie wyższa, dochodząca do +30°C.

Wprawdzie na Ziemi na dużych wysokościach na ogół nie mamy roślinności, przyczyną tego jednak nie jest tylko niskie ciśnienie i stosunkowo niska temperatura panująca na szczytach górskich. Do głosu dochodzi jeszcze wiele innych czynników, np. silne wiatry wydmu-

chujące glebę, silne działanie przesuwających się stale wzdłuż stoków górskich dużych mas śniegu i lodu oraz jeszcze wiele innych przyczyn. Na Marsie nie mamy w ogóle wysokich gór, ani silnych wiatrów, wydaje się więc, że w tych warunkach może istnieć roślinność.

Przemawia za tym ta okoliczność, że w wielu stosunkowo niedużych obszarach Marsa obserwujemy wyraźną ciemnozieloną barwę (wpadającą w kolor niebieski) różną od brązowo-czerwonej barwy reszty powierzchni tej planety. Obszary o ciemnozielonej barwie najwyraźniej zmniejszają tę barwę na żółto-brązową w okresie, gdy w danym obszarze Marsa następuje jesień i zima, po czym znowu przybierają kolor ciemnozielony w okresie początków lata. Otóż ta wyraźna sezonowość zmian barwy ciemnych obszarów przemawia w sposób dość przekonujący na rzecz istnienia na Marsie roślinności.

Mimo to dawniej wielu astronomów odrzucało ten argument na podstawie następujących przesłanek opartych na obserwacjach: badając zdolność odbicia promieni o różnych barwach (różnych długościach fali) z obszarów ciemnych, astronomowie przekonali się, że otrzymana krzywa (zależności zdolności odbicia od długości fal promieniowania) różni się od takiej samej krzywej otrzymanej dla roślinności na Ziemi. Mówiąc o roślinności na Ziemi mamy na myśli te rośliny, które najczęściej występują w średnich szerokościach geograficznych (trawa, rośliny liściaste i iglaste). Różnica ta występuje w części podczerwonej: „nasze” rośliny silnie odbijają promieniowanie podczerwone, wtedy gdy zielone obszary na Marsie tego promieniowania nie odbijają, albo odbijają w bardzo nieznacznym stopniu. Wydawało się, że ta okoliczność jest dostatecznym argumentem dla odrzucenia przypuszczeń o istnieniu na Marsie roślinności.

EKSPERYMENTY TICHOWA

Tymczasem, jak to pokazał niedawno profesor A. Tichow, własność odbijania promieni podczerwonych w naszych ziemskich roślinach jest własnością zmienną, zależną od warunków w jakich się rozwija dana roślina. Tichow rozpoczął bardzo wszechstronne badania nad właściwościami odbijania promieni przez rośliny, zależnie od warunków w jakich rozwija się roślina. Wykrył przy tym, że rośliny żyjące w klimacie surowym, bardziej zbliżonym do warunków, jakie panują na Marsie, w dużym stopniu tracą zdolność odbijania promieni podczerwonych, upodabniając się w ten sposób do domniemanej roślinności na Marsie.

Aby uzyskać argumenty jak najbardziej pewne, Tichow rozpoczął coś, co byśmy mogli nazwać hodowlą roślin „marsjańskich”. Szereg roślin wysokogórskich i roślin pochodzących z okolic podbiegunowych umieścił w sztucznych warunkach, zbliżonych do warunków panujących na Marsie. Obserwując szybkie lub powolne zmiany, którym te rośliny ulegają, można stwierdzić, czy zmiany te idą w kierunku „upodabniania się” ich barwy do barwy zielonych obszarów na Marsie. Eksperyment ten potrwa jeszcze długo, albowiem proces przystosowywania się roślin do nowych warunków musi czasami trwać długie lata. Dotychczasowe wyniki tego eksperymentu wskazują jednak na to, że istotnie rośliny

(Dokończenie na str. 6)

Przyjaciele piszą...

Codziennie ze wszystkich kontynentów nadchodzą do Polski listy świadczące jak żywym i serdecznym zainteresowaniem cieszy się V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów.

Oto list, który otrzymała ze Stanów Zjednoczonych młodzież Politechniki Warszawskiej:

„...Bylibyśmy szczęśliwi otrzymując od czasu do czasu wiadomości o przygotowanych dla młodzieży polskiej do V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów — pisze Inez Palk w imieniu studentów uniwersytetu w Michigan. Bardzo prosimy o przysłanie plakatów, czasopism i gazet. Wkrótce przesyłamy wam także egzemplarze naszego uniwersyteckiego czasopisma humorystycznego „Cargyle“.

Jesteśmy przekonani, że poprzez wymianę myśli i wiadomości między studentami całego świata możemy żyć i studiować bez lęku przed nową wojną światową...

Do studenta Uniwersytetu Warszawskiego pisze Tony Eek z Hilversum w Holandii:

„...O sytuacji w szkolnictwie może świadczyć fakt, że np. w Krammenie jeden nauczyciel uczy 91 dzieci. Nauczyciel otrzymuje mniejszą pensję niż podoficer w armii... Tylko 2,5% mieszkańców w Holandii skończyło szkołę średnią, tylko 0,5% uniwersytet, 43% naszej ludności stanowią robotnicy i chłopcy, lecz tylko 2% wszystkich studentów wywodzi się z robotników i chłopów... Dla szkół średnich i wyższych przeznaczają się rocznie stypendia w wysokości 1 miliona guldów, natomiast dla celów tajnej policji asygnuje się 3 miliony.

Wielu studentów, żeby jakoś żyć, musi pracować. Np. mój kolega, który studiuje medycynę, od godz. 19 do 24 pomaga na poczcie. Po prostu nie ma czasu na naukę. Zarabia 50 guldów na 14 dni, co umożliwia mu utrzymanie się przy życiu. Inni studenci siedzą od rana do południa i czekają, aż ktoś ich wynajmie do trzepania dywanów, bawienia dzieci itp. Wielu pracuje w porcelanie amsterdamskim, a w lecie jako przewodnicy dla cudzoziemców... Ta znikoma część, która ma szczęście otrzymywania stypendiów od państwa albo od większych przedsiębiorstw kapitałowych, np. Standard Oil, albo A.K.U., względ-

nie Philips, żyje w ciągłej obojętności, by im ich nie odebrano. Podczas studiów są nierzadko śledzeni przez przedsiobców, którzy te stypendia fundują. Pytaliśmy np. tych studentów czy złożyli swoje podpisy przeciw układowi londyńskiemu i paryskiemu, przeciw odbudowie militarystyki niemieckiej. Na to niektórzy stwierdzili, że chętnie złożyliby swe podpisy, ale boją się stracić stypendium...

Kochani przyjaciele. Pomyślcie, że może za dużo piszemy o sytuacji materialnej studentów i myślicie może, że to nie jest takie ważne, ale dla nas najważniejszym pytaniem jest — jak będą żyli w przyszłym tygodniu...

Od naszych przyjaciół z Niemiec zachodnich nadchodzą listy, które mówią o tym, że poprzez granice i sztucznie wznieszone kordony wszędzie przenika idea przyjaźni.

nie pisze. Chciałbym więc was zapytać, jaki jest powód i cel tego festiwalu, kto w nim uczestniczy, mam 18 lat i bardzo interesuję się spotkaniami młodzieży z różnych krajów, walczących o zachowanie pokoju i osiągnięcie porozumienia między narodami“.

Oto co pisze studentka z Finlandii:

„Śledziłam zawsze — pisze fińska dziewczyna z Tampere — przygotowania do Festiwalu, choć sama dotąd nie mogłam wyjechać. Ale teraz w lecie, kiedy młodzież zjedzie do waszej stolicy i ja będę miała okazję uczestniczyć w tym święcie radości, przyjaźni i pokoju. Już teraz cieszę się na myśl o tym, bo z opowiadań kolegów wiem, że nie często zdarzyć się może podobne przeżycie. Mam 20 lat, jestem studentką wydziału włókienniczego, a w czasie wakacji robię wycieczki i razem z ko-

legami z naszego Demokratycznego Związku Młodzieży pracuję w ogrodzie lub w polu.

Chciałabym, aby ktoś do nas napisał. Poza językiem rodzinnym znam jeszcze niemiecki i angielski“.

Anja Kivela
Härmälä
Tammankatu 5 A 3
Tampere

A oto inny list, też z Finlandii:

„...Właśnie zebrało się nas 9 osób i słuchaliśmy programu radiowego z Warszawy. Nie odczuwamy jeszcze „gorączki podróży“, ale słowo Warszawa wywołuje już wiele projektów w związku ze świętem, które odhędzie się latem w tym mieście. Śledzimy także z dużym zainteresowaniem wiadomości o przygotowaniach festiwalowych w różnych krajach...“

R. L.

Megafony kramiku ogłaszają wszem i wobec:

Przedtestwalowe studenckie igraszki trwają nie tylko w Polsce, ale wszędzie tam, gdzie jest wiosna.

Zwróciliśmy się do wybitnych naukowców meteorologów, którzy wyjaśnili, że ostatnio ustalili, iż wiosna panuje obecnie na całym świecie.

Wyciągnięcie wniosków z tego doniosłego naukowego odkrycia pozostawiamy P. T. Czytelnikom.

Wkrótce podziwiać będziemy skłony z baniek i sznurków cud motoryzacji XX wieku!

„Samochód“ jest własnością grupy studentów z Padwy. Jak oświadczyli jego właściciele, przyjadzie on wraz z nimi na Festiwal do Warszawy.



W takim stroju wystąpił przedstawiciel MZS Artlerano w czasie festiwalu studentów z Padwy. Prosimy by temu zdjęciu przyjrzyli się niektórzy nasi aktywiści cierpiący na chroniczne ponuractwo.

Komitet Festiwalowy uniwersytetu w Cambridge z okazji zakończenia semestru zorganizował pokaz filmu o festiwalu bukareszteńskim. Podobna impreza odbyła się staraniem Hindusów studiujących w Londynie.

Oto zaproszenie na „fukusówkę“ zorganizowaną przez studentów wydziału architektury uniwersytetu Karola w Pradze — podpisane przez... muzeum architektury.

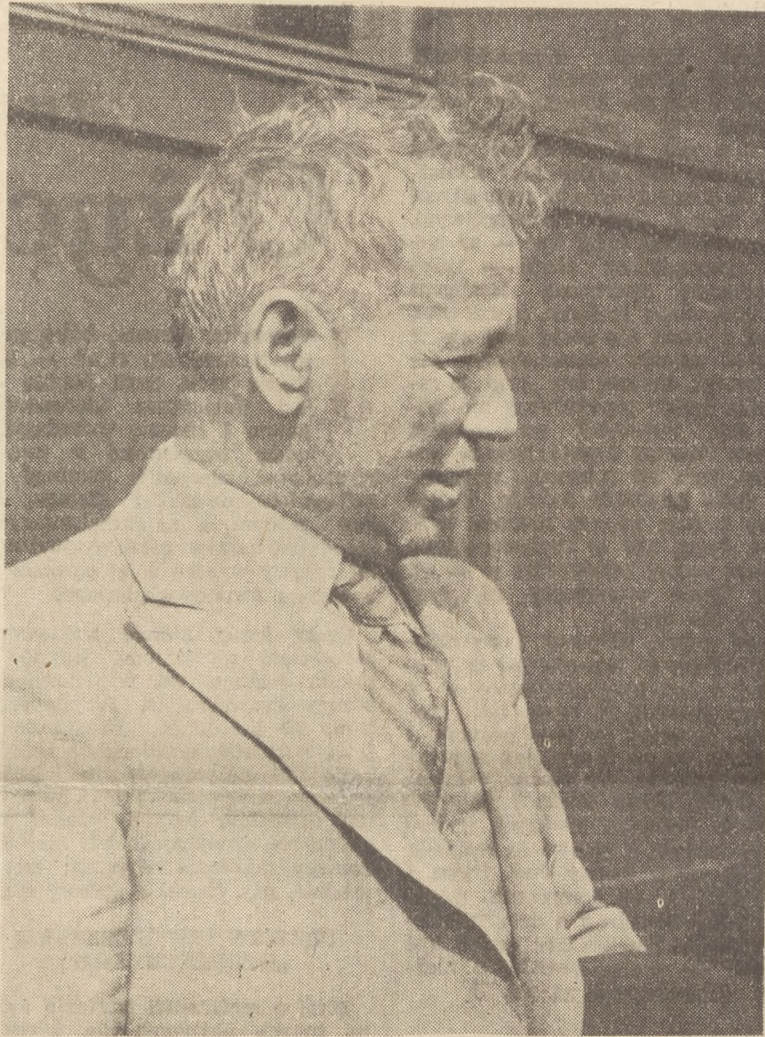
Możecie go nie wycinać i nie próbować wykorzystać — „fukusówka“ już się odbyła. Podobno dostało się na niej nie tyle nowostępującym



na uczelnię, co profesorom, których wielkie karykatury i „żywe portrety“ przedstawiane przez ułanów wanych aktorsko studentów stanowiły czołową część programu. Gdybyż tak u nas...



Anglicy jak jeden mąż wiedzą podobno, że w Warszawie jest Stare Miasto i tak sobie wyobrażają jego wygląd w dniach Festiwalu.



24 maja 1955 r. minęła 50 rocznica urodzin autora „Cichego Donu“, znakomitego pisarza — Michała Szolachowa.

Order świętego Aleksandra

Nie lada łaska spłynęła na kurie biskupia w Warszawie w dniu 22 kwietnia 1907 roku. Oto miłościwie panujący monarcha, Mikołaj II, cesarz i samodzielną Wschodnią, Król Polski, Wielki Książę Finlandii itd., itd., odznaczył księdza arcybiskupa Wincentego Chościak-Popiela orderem świętego Aleksandra.

Za co...?

✱

U podstaw działalności duchowieństwa w Królestwie Polskim w okresie rewolucji 1905—1907 r. legł program polityczno-społeczny Watykanu, wyłożony przez papieża Leona XIII w Encyklice „Rerum

novarum“. Celem tego programu było zachowanie i wzmocnienie istniejącego status quo, a więc wadzy reakcji. Stąd walka kleru polskiego przeciw rewolucyjnemu ruchowi robotniczemu. W akcji tej kler potrzebował — zresztą na zasadzie wzajemności — poparcia władzy świeckiej. Z istoty tego sojuszu wynikały więc dla kleru dalsze wymagania, a mianowicie uległość wobec politycznych żądań cara. Stąd występuje on zarówno przeciw wszelkim dążeniom postępowym, np. młodzieży szkół warszawskich, jak i przeciw walce społeczeństwa o wyzwolenie narodowe.

Robotnikowi i chłopu polskiemu walczącemu o rzeczywisty postęp społeczny, o niepodległość narodu, o jego przyszłość — biskupi tłumaczą:

„W chacie i we dworze, to jak by rodzeni bracia, mieszkać i z sobą żyć powinni. Jedna ich łączy i kara święta, jedno pochodzenie, jedno uczucie. Jedną naszą ukończoną mową mówią polską, jeden paciorek polski odmawiają, w jednym kościele modlitwy wasze do nieba zasyłacie. Jesteście współobywatelami naszego kraju, współmieszkańcami naszej polskiej ziemi — i czyż podobna przypuścić, by niezgody, nieufność i brak wzajemnej braterskiej łączności między nami walcze wspólnie stosunków?“

Lecz rewolucji nie zahamują już żadne usiłowania jej wrogów — tym bardziej oszukane odeszły. W końcu czerwca 1905 roku czerwona, rewolucyjna Łódź chwyciła za broń, by z barykad robotniczych

miasta rzucić wyzwanie caratowi. Proletariat Rosji i Polski wyzwania nie popiera nowymi strajkami i wzmocnioną zaciętością w walce.

I wówczas rozbrzmiewa głos arcybiskupa Popiela do robotników i pracodawców Łodzi: „Zaiste, pokój! Wam działki moje! Dosyć też! Dosyć ofiar! Dosyć krwi!... Czy szarpacie pierś matki, która Was karmiła, nie rozumiecie, że głód Was czeka niechybny? Czyż burząc fabryki, przerywając ciągłe pracę, pozbawiając się zarobku — przemysłu, który jest źródłem Waszego istnienia, nie podkopujecie doszczętnie?... Zaklinam Was, działki moje, przejrzyjcie! Zaniechajcie dalszych bezroczni!“

✱

Order świętego Aleksandra był jednym z najwyższych odznaczeń w cesarstwie rosyjskim.

Za co ten order otrzymał arcybiskup Popiel?

„Za „długotrwałą i gorliwą służbę“.

Tak stwierdził Samodzielną Wschodnią podpisując swój Najwyższy Reskrypt.

✱

Publikowane obok reprodukcje dokumentów z owych czasów mówią wyraźnie, że arcybiskup, mianujący się Polakiem, na ten carski order w pełni „zasłużył“. Owe dokumenty zdradają są naturą tylko przykładami. Listę ich można przedłużyć jeszcze o wiele, wiele pozycji, z których każda świadczyć będzie z równą mocą, kto był „nieprzyjacielem młodego pokolenia i jego ideałów, wrażliwym obywatelom...“

Fakty te mają wartość nie tylko historyczną. Zawarta w nich tendencja przewija się ciągle jeszcze i teraz w wielu publikacjach Watykanu, który nie może pogodzić się z faktem wywalczenia przez naród polski wolności narodowej i społecznej. Jednak fakty i historia są zawsze potężniejsze od usiłowań wsteczników — i do historii, do sił rewolucji należy głos ostateczny.

LEOPOLD STAFF

Wiosna Ludów

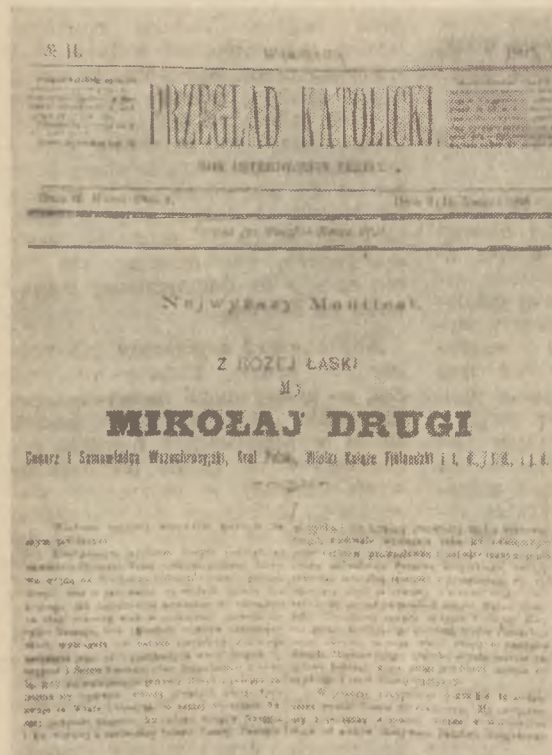
(FRAGMENT)

Od gór do gór, od morza do morza dziś Święto. Ciesze się ludy, góry, miasta, półwyspy i rzeki. Morze Czarne i Białe i Bałtyckie morze, Grajcie i niech wieki dalekie was słyszą. Półwyspy Kanin i Kola i kwiecisty Krymie, Słuchajcie! Od szczytów Karpat do Uralu i Kaukazu Rozbrzmiewają zwycięskie, szalone surmy wolności. W pierś uderzone pięścią przemocy znieściska, Z wiekowego snu odmlodzone ludy się budzą I przypominają sobie swe z kart wytarte imiona. Wolność z pochodnią wesołą przebiega ulice miasta I w wielokółu czołem wieńczonym urasta. Chcę śpiewać pieśń upojną wolności! Gdzie słowa dosyć godne, by wolność śpiewały? A jakaż pieśń piękniejsza i świętsza modlitwa Nad wolnych ludów wolne imiona: Polska, Ruś, Litwa, Żmudzi, Finowie, Lotysze.

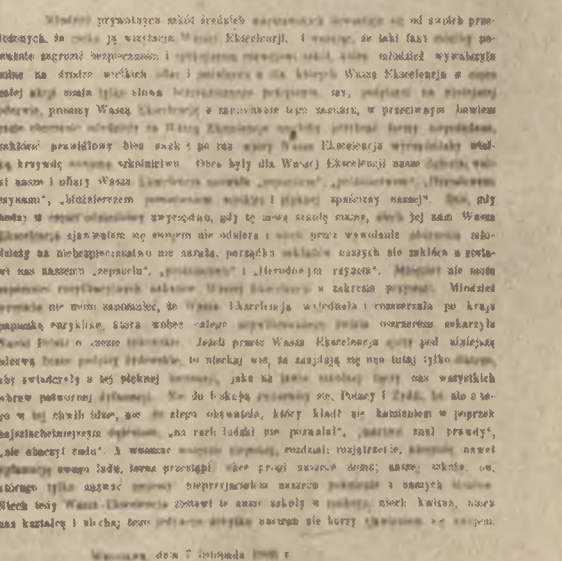
Od gór do gór imiona latają w powietrzu Wokoło wolności, jak gwiazdy wkrąg słońca krążące, Jak gołębie nowin i pozdrowienia. Dzieci, kobiety i starce z ust od siebie sobie, Jak pocałunki po Mszy Wielkanocnej I mówią: „Zmartwychwstała wolność. Alleluja!“ Gdzież, biały carze, twoje samowładztwo? Odbieciał cię bóg (twój) knut i twój knut: prawosławie. Nie wyszli bronić cię święci ze złotych ikonów, Nie zbawili święce woskowe słane do Ławy Perzskiej, Złote banie twych cerkwi nie spadły na głowy buntowników, Bo zbudowane na krzywdzie, twardszej niż skała. Odszedł cię Bóg (twój) stary i zaplał nad tobą, Ześ mu kajdany dał w rękę miast miłosierdzia... A lasy twoje i pola śpiewają, że wolność się rodzi, Rzeki twoje rozkute z lodów szumią hymn wiosny... I ja chcę śpiewać wolności. O jakaż pieśń połączniejsza, Nad wolne imiona rzek wolnych, nad którymi wolność się staje: Wisła, Niemen, Wilia, Bug, Dniepr, Don i Wołga.

Od gór do gór biegnie trzęsienie ziemi z tętentem rumaków, Złoty pług życia orze jaskowy ugor śmierci. Wstają miasta, zamieniają się w obozy i walcą, Wznoszą się barykady z bruków ulic i rumowisk, Pierś przy piersi stają milicjacy buntownicy, Słychać suchy trzask odwodzonych kurków, Padają krótkie, stanowcze hasła i rozkazy, Ognia błysk, huk, dym i kilka walcących upadło I przeredzone znów się zwierają szeregi. Wszyscy są razem, poważni i nie ma pośród nich zbiega. Wolność krwią padłych swe imię pisze na żelazie bagnatów, A żołdat bagnat opuszcza zalekły, na płamę krwi spojrzal, Zegna się krzyżem trzykrotnym i patrzy zdumiony w walcących. Odtąd nie ufaj mu, carze, Ten podziw to wróg twój największy, A wolność idzie zwycięska i zdziwi wszystkich swą krasą. Chcę śpiewać pieśń upojną, pieśń na chwałę wolności, A jakaż pieśń bardziej upaja, jakaż jest większa chwała Nad walcących o wolność miast bohaterów imiona: Warszawa, Łódź, Wilno, Helsingfors, Kijów, Moskwa, Odessa.

„Krytyka“ miesięcznik pośw. sprawom społecznym, nauce i sztuce, Rok VIII, t. I. Kraków 1905.



Do jego ekscelencji Wincentego Chościak Popiela Arcybiskupa Warszawskiego.



Fotokopia listu młodzieży polskiej do Arcybiskupa Warszawskiego.

Tytułowa strona Przeglądu Katolickiego z manifestem prawosławnego cara i gnuśbiela Polski.

Mordercy są wśród nas czyli o obojętności

to historia prawdziwa, choć piszący nie może ożrządnąć się z wrażenia, że wszystko to jest koszmarnym snem, po którym nastąpi czysty poranek, kiedy można będzie odetchnąć świeżym powietrzem.

Działo się to w Lublinie, roku 1955. Był styczniowy dzień, padał deszcz pomieszanym ze śniegiem, niebo miało kolor ołowiu i ciężkim ogniem leżało nad miastem. Ulicami, rozchlapując brudny śnieg, szybko przejeżdżały samochody, szybko przechodzili zmarznięci ludzie. Parowała mokra końska sierść, miasto pustota. Przed Państwowym Domem Młodzieży przy ulicy Narutowicza 32 stało dwóch chłopców. Jeden z nich nazywał się Antoni Wójcik i miał lat 17, drugi — był od niego o dwa lata starszy i nazywał się Czesław Bąk; ani jednego, ani drugiego — jak to się później okazało — nie pocalowała jeszcze kobieta. I jeśli która z kobiet zdecydowała się pocalować któregoś z nich — nastąpi to dopiero za lat 15.

Intendentem PDM przy ulicy Narutowicza był niejaki Stanisław Kita, człowiek 65-letni, ukochany przez młodzież, mieszkający samotnie na poddaszu. Tam też skierowali swe kroki czekający przed bramą. Na schodach Wójcik wręczył Bąkowi młotek szwajski, który uprzednio zabrał z domu. Potem zapukali do drzwi. Kiedy Kita wyszedł, Wójcik — do niedawna mieszkaniec PDM — przedstawił mu swego koleżę jako wystannika miejscowej gazety „Sztandar Ludu”. Kita wyraził chęć zejścia na dół do kancelarii, aby tam udzielić „dziennikarzowi” wyjaśnień. Wtedy Bąk błyskawicznie wyciągnął z kieszeni młotek i kilkakrotnie uderzył starca w głowę: Kita krzyknął przerażenie i po jego twarzy poczęła spływać krew. Bąk uderzył raz jeszcze, młotek zламаł się przy nasadzie i uderzył z rozmachu w sufit; ośypało się nieco tynku. 19-letni chłopiec nie wytrzymał i rzucił się do ucieczki. Pozostał młodszy, 17-letni. Powalił Kitę na ziemię, skrepił go uprzednio przyniesionym sznurkiem i zadał mu jeszcze około dwudziestu uderzeń głowicą młotka w czaszkę. Nastąpiło pęknięcie kości skłapieniowej i zmażdżenie lewej łąki ocznej; w kilka chwil potem starzec skonał — wtedy Wójcik przystąpił do rabunku. Zbrodnia była przemysłowa ze szczegółami. Wójcik — jako ulubieniec Kity — dobrze znał rozkład jego mieszkania i skromniutki „skarby” staruszka. W kilka chwil potem jechał już taksówką ulicami Lublina, miał przy sobie aparat fotograficzny „Leica”, przeszło 2000 złotych w gotówce, zegarek na rękę, kilka brzytw, parę butów i kilka koszul starego człowieka.

Mniejsza z tym w jaki sposób wykryto zbrodnię, odbył się proces i zapadł wyrok. Wójcik i Bąk skazani zostali na 15 lat więzienia. Zaskarżeni ohydą i niecodziennieściami zbrodni Sąd Lubelski sprowadził biegłych rzeczoznawców — psychiatrę, neurologa i pedagoga. Wszyscy trzech biegli — wybitni w swej dziedzinie rzeczoznawcy — orzekli, iż podsądni są zupełnie normalni i że zbrodnia nie ma żadnego tła patologicznego. Jeden z rzeczoznawców, profesor-pedaog, oświadczył:

„...Wychodząc z założenia nauk Pawłowa stwierdzić należy, że efekt końcowy czynu nie stoi w żadnym związku z przesłankami pedagogicznymi, materialnymi i logicznymi. Zbrodni tej nie zrodziła żadna konkretna potrzeba; zbrodnia ta zrodziła atmosfera. U oskarżonych da się stwierdzić absolutny brak hamulców moralnych, bezdeciowości, pustka, brak jakiegokolwiek zainteresowania...”

Od wielu tysięcy lat żyjący na świecie popielają zbrodnie. Zabijają, rabują, podpalają, gwałcą i kradną. Każda z tych zbrodni ma swój przyczynę. Każda zbrodnia ma swą specyficzną moralność, pewne kategorie oceny dające się jakoś zaszerzować nawet wtedy, kiedy są straszliwe i wrocie człowiekowi. Głodujący zabija sytego, aby się utrzymać przy życiu, mąż zabija niewierną żonę; ludzie zabijają broniąc swej godności i honoru, zabijają z rozpacz, ucieśkłości lub w obronę swego życia — w tej czy innej dającej się ocenić sytuacji. Obok miłości, zdrady, nienawiści — zbrodnia jest jednym z odwiecznych tematów literatury. Pomiędzy tragedie starożytnych i tragedie Szekspira; sięgnijmy do czasów bliższych nam. Bohater „Zbrodni i kary” — Raskolnikow — jest zdolnym, przemyślnym z głodu studentem, który zabija starą lichwiarę i złodziejkę, aby zdobyć środki do życia. Ma w tym swoją okrutną moralną rację; zostając mordercą, zabija jednego ze szkodaćcych społeczeństwu ludzi; jego zbrodnia jest jednocześnie protestem przeciw ustrojowi społecznemu. Stawrogin — człowiek bez ojczyzny, honoru i pragnień — popełnia zbrodnię aby obudzić w sobie działalność sumienia i serca, gdyż jest człowiekiem, któremu „niczego się nie chce” i przez zbrodnię pragnie wyrwać się z kręgu moralnej pustki. Iwan Karamazow staje się moralnym sprawcą śmierci swego ojca, gdyż twierdzi, że „wszystko jest dozwolone”. Bohater powieści Gide’a, Lafcadio, popełnia zbrodnię, „realizować w sobie człowieka”; jest właściwie fałszystą, zadaje samemu sobie sadyistyczne tortury, aby potwierdzić własne męstwo i hart, popełnia nas.

mord tylko dlatego, aby utwierdzić w sobie mit silniejszego. Długa jest lista morderców potępianych lub gloryfikowanych przez literaturę. Bohaterowie współczesnych powieści amerykańskich sami „wymierzają sprawiedliwość” działając poza prawem i normami społecznymi.

Nie ma sensu — na tym miejscu — wymieniać i cytować. Lecz powtarzam: każda z tych zbrodni ma swą okrutną „filozofię”, „moralność”; czynnik usprawiedliwienia, którym operuje morderca. Nie uchodzą tu w dziedzinę zbrodni popełnianych przez zbrojnych lub obłąkanych — zbrodni patologicznych.

Zbrodnia lubelska nie miała nic wspólnego z patologią. Nie miała także nic wspólnego z owymi „racjami moralnymi”, w imię których zabija się człowieka. Młodociani mordercy nie potrafili odpowiedzieć na pytanie — dlaczego zabili? Ludzie obserwujący proces, kurczyli się zdęci przerażeniem i ohyda, kiedy mordercy na pytanie sądu wyjaśnili, że chcieli zdobyć trochę pieniędzy na zabawę i drobne przyjemności.

Zjawiska konkretne rodzą się z przyczyn, przyczyny rodzą się z potrzeb, potrzeby z konieczności. Cóż zmusiło tych chłopców, by zamordować samotnego starca? Nie nęda, nie głód. Nawet nie potrzeba wycieczki się. Zbrodnię tę zrodziła atmosfera. Atmosfera bezdeciowości, nudy, marazmu, moralnej nędzy, braku zainteresowań, niedostatecznej opieki. Piszący te słowa żyje w państwie, które w ciągu lat dziesięć z pustyni ruin — ruin domów i ruin ludzkich — stało się potężnym państwem, w którym uczucie człowieka, po raz pierwszy w historii swego narodu, może realizować swe życie w zgodzie z sumieniem i moralnością wolnego człowieka. Piszący wierzy w moralną siłę swego państwa, w jego praworządność, w jedną słusność jego polityki — i fakt ten uprawnia piszącego do twierdzenia, że zbrodnia lubelska, w jakiejś części, winni jesteśmy wszyscy. Nasza częsta obojętność moralna wobec tych czy innych zaobserwowanych wykroczeń przeciw praworządności, nasza obojętność, gdy z daleka patrzymy na chuliganów — zrodziła w wielu poczucie bezkarności, daje grunt mniemaniu, że silny da sobie zawsze radę. Chłopiec, który awanturuje się w tramwaju po pijanemu, jutro zaczepi nas na ulicy, pojutrze stać się może mordercą, jeśli będzie działał nieujarzmiony, w poczuciu własnej bezkarności.

Nie wolno nam być obojętnymi. Musimy rozpocząć walkę. Tu nie pomagają surowe wyroki sądów, nie pomagają nowe mundury milicyjne, nie pomagają gumowe pałki i radiofonizowane samochody. Tu pomocą możemy tylko my sami, jeśli sami obudzimy się z moralnej drętwoty.

Chuligaństwo dawno przestało być tematem karykatur i skeczów na satyrycznych estradach; stało się groźną chorobą społeczną wypaczającą nasze życie i zagrażającą naszemu życiu. Zbyt długo nie odróżniano u nas terminu „chuligan” od terminu „przestępca”, „złodziej”, „morderca”. Zbyt długo pisaliśmy o amerykańskim stylu życia, nie widząc jak na naszych oczach rodzi się nasze własne zło, nasz rodzimy bananizm.

Popielaliśmy błąd za błędem. Moralizowaliśmy licząc, że chuliganicy czytając będą nasze płomienne artykuły a zbyt mało robiliśmy na prawdę. Trudno, mamy wrogów z zewnątrz kraju i tępiny ich; tępiny także naszych wrogów wewnętrznych naszego kraju. Musimy bronić naszego państwa, naszego prawa, naszej moralności; musimy bronić ich samych. Musimy wydać temu walkę. Musimy bronić tego wszystkiego, co wymarzyli i wyważyli dla nas inni ludzie — ci, z których wielu nie ma już dziś wśród nas.

Medzą nami, w gronie ludzi żyjących, pozostali dwaj mordercy z Lublina. Niech ta zbrodnia stanie się dzwonkiem alarmowym, niech szarpie ona nasze sumienia. Przez wybór pomiędzy życiem uczciwym człowieka a życiem bandyty. Dajemy ją dalej. Lecz pamiętajmy, że o pieśność i obojętność nasza rodzi morderców. Dziś jeszcze są oni między nami.

Oto ostatnie słowo oskarżonego Wójcika:

„Ujawnienie kolegów, gdyż zrozumiałem, że są oni na złej drodze, dlatego, aby przeżyli swój wstrząs głęboko, aby nie spotkali mój los, aby nie zasiędlili na ławie oskarżonych; zrozumiałem krzywdę wyrządzoną społeczeństwu i rodzinie Kity. Mimo umowy, że na kradzież więcej nie pójdziemy, obawiałem się, że Bąk nadal pozostanie na złej drodze i dlatego go wydałem, a nie dlatego, że jestem „chytym iłem”. Od dwudziestego drugiego stycznia (data aresztowania Wójcika — M. H.) zacząłem sobie zdawać sprawę z czynu, uważam, że nie ma takiego wymiaru kary, z którym można by równoważyć życie człowieka, takiego zwłaszcza, jakim był Kita. Pragnę wkroczyć na drogę życia zgodnie z prawem. Jeśli sąd wierzy moim słowom i jeśli widzi że zmiana, jaka we mnie zachodzi — proszę umożliwić mi powrót do społeczeństwa dla rehabilitowania się; a jeśli nie — proszę o karę śmierci, bo nie chcę być pasywnym społeczeństwem...”

Nie potrzeba niczego umirować ani też dodawać. Mam wrażenie, że o skomplikowanych przyczynach chuligaństwa — można by napisać teraz już parę pokaźnych tomów. Ja zwracam uwagę na jedną tylko z przyczyn — na naszą obojętność. Lecz uwaga: mordercy są wśród nas.

Krach drobnomieszczańskich ideałów

WŁODZIMIERZ GODEK

pią niebezpieczną dziewczynę porzuconą przez kochanka. Do jednego worka wrzuca prostytutkę i prawdziwie kochającą kobietę. Sankcjonuje moralnie związek małżeński chłopca z Pułtuską z bogatą niekochaną kobietą nawet wtedy, gdy ten zabija przedmiot uwiedzioną dziewczynę i jej rodziców, którzy przeszkadzali mu powiększyć swój majątek przez bogaty ożenek.

PIERWSZE POKOLENIE DROBNOMIESZCZAN

Historia zdecydowała już o tym morale burżuazji. Przygotowuje odpowiedni kąt w lamusie przeszłości, by złożyć ją razem z okrutną i niebudzącą moralnością właścicieli niewolników.

Kwit bagażowy opłacany jest jednak długą i zaciętą walką. W świadomości ludzi wgrzyzło się głęboko burżuazyjne widzenie świata. Przejmowały je pokolenia i przekazywały następny. Nie należy się więc dziwić, że nasze babki i jeszcze wujów ojców i matek daje nam „moralne” rady życiowe: „pchaj się przez życie łokciami, twój osobisty los jest najważniejszy. Zbijaj majątek, który zapewni ci powodzenie w życiu. W małżeństwie nie szukaj miłości, a pieniędzy, oparcia w karierze, własnej życiowej wygody”. Treści te wypowiadane są często z dodatkami mnóstwa frazesów i pobożnych moralów. Jednak ich ideologiczny sens — to credo drobnomieszczaństwa.

Takimi drobnomieszczańskimi rodzinami na wskroś pograżonymi w burżuazję — kościelnych ideałach są małżonkowie Barańscy i Władziewscy. Za wszystkich ich poczynaniami i motywami działań tkwi egoizm, dążność do zapewnienia sobie i dzieciom powodzenia w życiu za wszelką cenę, nawet kosztem szczęścia i zdrowia innych.

Barańscy wymarzyli Sławkowi materialny dobrobyt spokojnego rodzinnego ogródka. Bez skrupułów wykroili z jego życia Renę, która w ich mniemaniu stała na drodze kariery Sławki.

Widzewska najelementarniejsze uczucia rodzinne przesłonił kościelny ślub. Parli do niego ze wszystkich sił, choć z góry wiedzieli, że nie uszczęśliwi córki. Mogła pozostać przy małżonku, cierpieć, mogła być poniewierana, byleby zachowała pozory w oczach sąsiadów: sakrament umoralnia wszystkich.

Obracamy się w kręgu typowych drobnomieszczańskich. Wszyscy są święcie przekonani, że postępowali słusznie. Co osiągnęli?

Nieszczęśliwe córki i syna, zakłócony spokój ogniska domowego chyba do końca życia, pogardę i potępienie nowego społeczeństwa.

Barańscy i Władziewscy nie rozumieją, że ich osobiste nieszczeście oznacza krach ideałów warstwy, którą reprezentują, krach drobnomieszczańskiej moralności. Nie rozumieją, że nowe życie wykreśla z historii egoizm i patrystka na świat tylko poprzez cztery ściany do-

statnio umeblowanego pokoju, do brej i ciepłej posadki, przez własne ja. Nie rozumieją, że w sprawach miłości powinni decydować sami zakochani a nie ich rodziny, że nie ślub bez miłości jest celem dążeń ludzi, ale miłość uwięzioną wżem małżeńskim. Nie rozumieją, że to właśnie oni w dużej mierze stali się sprawcami nieszcześcia swych dzieci i siebie samych.

Ostatecznie nie można mieć do nich wiele pretensji. Większość swego życia przeżyli w ustroju, który wszepił im burżuazyjną ideologię. Nie mieli warunków, by stać się innymi.

Czy można to samo powiedzieć o Sławku i Renie?

CZY DRUGIE POKOLENIE?

Sławek jest przystojnym, dwudziestoletnim mężczyzną. Ma szerokie zainteresowania i dość głębokie zamiłowania. Ciągłe coś majsterkuje, wymyśla i kombinuje. Pasjonuje się lotnictwem i wszelkimi wynalazkami. Raz opracowuje nowe urządzenie do samolotów, kiedy indziej przyrząd do pływania pod wodą. Jest bardzo grzeczny i uprzejmy w stosunkach towarzyskich, jego inteligencja i oczytanie wywierają korzystne wrażenie. W dalszym ciągu: „awansuje, odbardzany jest zaufaniem w pracy. Nie pije, nie uganiam się za kobietami, wywiązuje się dobrze ze swych obowiązków zawodowych i partyjnych”. Pozornie więc jest człowiekiem bez skazy.

A jednak jego postępowanie zgodnie z moralnością studentek (i nie tylko studentek) wyraża się słowami Ruty Bersztajn z Wrocławia: „Sławek to słaby, tchórzliwy aż do podłości człowiek, niski egoista, typowy karierowicz”. I chociaż sądzi, że pewna suma wiedzy marksistowskiej i legitymacja partyjna czynią go komunistą — myli się, bowiem jego rzeczywiste widzenie świata jest niekomunistyczne, lecz drobnomieszczańskie.

A RENA? Była za młoda i za słaba, by oprzeć się wstrętnej dulszczyźnie rodziny. Gdy zorientowała się, że Sławek nie da jej szczęścia, zabrała już jej siłę by odejść, nie dopuściła do niemoralnego małżeństwa z przysmusem. Co więcej: sama parła do związku ze Sławkiem. Zwyciężyły w niej moralne poglądy rodziców.

I znów wpadamy w krąg ludzi, których postawa moralna budzi niepokój. Ale nie tylko to. Sprawa jest o wiele szersza. „Reportaż wzbudził we mnie rozgorzczenie — pisze Stanisław Dagiel z Olsztyna — Jak to się stało, że w naszym ustroju, gdy tyle mówimy o prawach kobiet, gdy te prawa są własnością kobiet, młoda dziewczyna doznaje tak wielu upokorzeń, traci wiarę w ludzi, zostaje unieszczęśliwiona?” Innymi słowami: dlaczego młodzi ludzie, dziesięć lat wchowywani w nowych warunkach całkowicie sprzyjających moralnemu rozwojowi ludzi, popełniają czynny sprzeciw z normami komunistycznej moralności?

piękne boiska do piłki nożnej, siatkówki, koszykówki, korty tenisowe. Dla kibiców i widzów przygotowano trybunę... tylko w nieco mniejszych rozmiarach niż na praskim stadionie...

Dobrze się tu mieszka dotychczasowym gospodarzom, budowniczym Pałacu Kultury i Nauki. Jeden z nich towarzyszy N. N. Koncimow mówi: — „Sądzę, że i wasi studenci będą zadowoleni z osiedla „Przyjaźń”.

Jesteśmy tego pewni!

Już dziś w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego przeprowadzane są dyskusje nad racjonalnym wykorzystaniem tak pięknego obiektu, zapewnieniem odpowiednich środków lokomocji. Przedłużenie przez MPK linii tramwajowych nr 10 i 26 oraz trasa autobusu 106 rozwiązałyby tę kwestię całkowicie.

1 października miasteczko studentek zostanie całkowicie oddane studentom. Chcielibyśmy, aby dbali o nie równie pieczołowicie i starannie, jak jego twórcy — przyjaciele radziecy.

H. GRABOWSKA

W miasteczku studenckim „Przyjaźń”

„D a zdrastujecie sowietko — polska družba” — wita napis nad bramą wiodącą do osiedla „Przyjaźń” zamieszkałego przez budowniczych Pałacu Kultury i Nauki. Wchodzącymi w szeroką ulicę obłożoną jasnymi budynkami. Przed trzema laty rozciągało się tu puste, porośnięte rowami pole. Towarzysze radziecy zasypali glinianki, wytyczyli ulice, postawili domy. Poważnym nakładem sił i środków materialnych wzbogacili naszą stolicę o nowe osiedle mieszkaniowe. A w przededniu powrotu do kraju — podarowali je młodzieży z warszawskich wyższych uczelni.

Jeszcze dosłownie wczoraj miesiliśmy wiele kłopotów z mieszkaniem dla studentów. Dziś — posiadamy prawdziwie miasteczko studenckie. Piękne i rozległe, takie które zapewni przeszło 4 tysiącom mieszkańców miły pobyt, dogodne warunki nauki, różnorodne rozrywki.

Na terenie osiedla znajdują się 85 dużych will (każda z nich składa się z 16 pokoi, świetlicy, kuchni

i ubieralni) i tyleż samo przytulnych, trzypokojowych domków jednorodzinnych. Wszędzie pełno zieleni — wokół domów trawniki, młode krzewy i drzewa, w sadzie kwitną jabłonki.

Asfaltowa ulica zaprowadzi cię dokąd zechcesz: do sklepów, fryzjera, łaźni, stolówki obliczonej na 350 miejsc. Wszystkie punkty usługowe dla wygody mieszkańców są bliskie i łatwo dostępne. Wygodna poliklinika zapewni dobre warunki pracy lekarzom, a chorym studentom szybki powrót do zdrowia.

Skończyli się kłopoty bezdomnego „Teatru Satyryków” i uczelnianych zespołów artystycznych. Od października będą mogli występować na scenie w sali teatralnej klubu, (zycymy co wieczór „kompletu”, a więc 700 widzów). Ponadto klub zawiera pokoje do zabaw, bibliotekę, wygodne foyer i zaplecza jak garderobę, dekoratornie itp.

Miłośnicy sztuki filmowej spędzą niejedną miłą wieczór w tutejszym kinie. Sportowcy przestaną się skarżyć na złe warunki: dostaną do dyspozycji salę gimnastyczną, ring,



Fragmenty osiedla

Odpowiedź najogólniejsza i najprostsza: dlatego, że jak gąbka przesyca się poglądami rodziców, że silniejsze są w nich moralne racje drobnomieszczańskie, niż normy nowej epoki.

Kogo winić: ludzi, którzy brną załkami zgodnie z wskazaniami moralnymi rodziców, czy też ludzi odpowiedzialnych za wskazanie im słusznej drogi?

I jednych i drugich.

BURZY SPOKÓJ

U wielu zetempowców i studentów utarł się niesłuszny pogląd, że są oni jedynie biernymi uczestnikami wychowania. „Wychowujcie mnie!” — wykrzyknęła czupurnie studentka na zebraniu grupy. Po zebraniu założyła się z koleżanką: „Zobaczmy, czy zdołają mnie przekonać”. W tym tragicomicznym (i identycznym) zdarzeniu w groleskowej formie odzwierciedliła się prawda naszego błędu. Traktujemy niektórych studentów jak dzieci, obchodzimy się super-ostrożnie, przekonujemy, zapewniamy dobrą rozrywkę i warunki do nauki, staramy się nie urazić ich poglądów. Wyciągamy surowe konsekwencje wtedy, jeśli popełnili czyn jaskrawo odbiegający od naszych zasad, lecz często — w takich momentach usprawiedliwiamy ich postępowanie młodzieńczo, przeżytkami burżuazyjnymi, wpływami rodziny itp. To wszystko jest oczywiście słuszne, pod warunkiem, że się nie wpadnie w przesadę. A niestety — tak często bywa.

Ostatecznie przecież w naszych warunkach o losach człowieka nie decyduje stara ideologia, ale ja sam. W przysłówku „każdy jest kowalem swego losu” zawarta jest ta prawda. Na nic zdadzą się wszystkie wysiłki organizacji i uczelni, jeżeli człowiek, na którego oddziaływujemy, pozostanie bierny. Jeżeli nie będzie usilnie dążył do samodzielnego poznania prawdy, jeżeli nie zechce szczerze i gorąco wykształcić w sobie nowe wsłaniające cechy człowieka naszej epoki.

I to chyba powinien głęboko — naprawdę głęboko — uświadomić sobie każdy z nas. A pomoc w tym należy do organizacji i uczelni.

Mamy jeszcze wiele drobnomieszczańskich rodzin. Ich dziećmi przychodzi na uczelnie. Przeważnie po dwóch latach zajęć z marksizmem ustalamy klasyfikację: ten już jest skrzyszalowany, ten się waha, a tego nie można przekonać. Pomijając niesłusność takiego podziału trzeba powiedzieć: w bardzo wielu wypadkach nawet tych pierwszych trudno nazwać marksistami. Są podobni Sławkowi: szermują materialistycznym frazesem, szczytują się czerwonymi krawatem, manifestacyjnie nie chodzą do kościoła i są świecie przekonani, że zostali komunistami. W praktyce jednak niemiennie wylazły z nich drobnomieszczańskie poglądy. Często trudno je zauważyć. Zawarte są w cymicznym gesticie lub uśmiechu, lekkawym traktowaniu pewnych spraw i ludzi. Dopiero gdy znajdując się w takiej sytuacji w jakiej znalazł się Sławek, kiedy muszą decydować, kiedy na nic zda się światopoglądowy frazes — bo trzeba się osobiście angażować — zaczynają powracać, do tej pory skutecznie wypierane przez komunistyczne racje — stare poglądy.

Trudno jest bez gruntownej znajomości każdego człowieka pracować nad jego wychowaniem. Można jednak — i to jest głównym zadaniem uczelnianych organizacji — czuć troskliwość nad każdym niepokojącym przejawem starych nawyków i uświadamiać je studentom, pomagać w ich wylepieniu. Można i trzeba zmuszać studentów do przemyslenia życia, burzyć ich spokój wewnętrzny, wdzierać się w najbardziej skryte tajniki psychiki, mocno i ostro, niech boli, niech się zalamuje coś w człowieku, targa i szamota. „Przeżyłcia najbardziej kształtują człowieka” — usłyszałem kiedyś takie zdanie. To prawda. Nie bądźmy spokojni w naszej pracy. Przeciwnie — burzmy spokój.

Sławek nie zerwał ze starym światem. Niewiele mu pomogliśmy gdy był na uczelni. Okopany mocno drobnomieszczańskimi ideami poszedł w świat z etykietką marksista.

Sławków na uczelniach jest sporo. Czasem zajmują nawet poważne stanowiska w organizacji. Czyż nie nadszedł czas lepszego dostrzegania ich i demaskowania?



W naszym życiu nie tylko ludzie opuszczają nas i odcinają. Opuśczeni są także słowa, pojęcia, które z czasem stają się blade i martwe: czas odbiera im siłę i treść. Jeśli po latach napotyamy je — są jak dawno odlane maski i nie możemy w nich poznać niczego, co nas kiedyś wzruszało lub przyprawiło o gniew. Istnieją słowa - zaklęcia, słowa-pieśni, słowa silne jak nadzieja, lecz istnieją także słowa - wyroki. Takim słowem jest „rajzer”. Rajzer — to włóczęga, człowiek gościna, człowiek szukający pracy, wędrujący przez noce i dni, padający z głodu, proszący o nocleg, chleb i wodę; człowiek, dla którego życie ma tylko wymiar jutrzejszego dnia. Rajzer — to człowiek, którego jedynym słońcem jest rozpacz.

Słowo „włóczęga” budzi dziś pogardę: dwadzieścia lat temu budziło ono czasem i litość. Na dachach i brekach wagonów, gościńcami i bocznymi drogami, wzdłuż kolejowych torów, omijając większe miasta i policyjne posterunki, wędrowali rajzerzy — gdyż tak nazywał lud tych, którzy poszukiwali pracy. Ginęli od kul policyjnych, znajdowali śmierć w tunelach i pod kołami wagonów, trafiali do więzień, ginęli na drodze od chorób i z wyczerpania, zabijali ich głód, czas i nadzieja. Czasem także zatrzymywali pracę.

Działo się to w miesiącu maju. Dwaj mężczyźni, pewnego ranka, mrużąc oczy z bezsenności i silnego słońca, wkroczyli na rynek małego miasteczka. Byli zmęczeni i wyczerpani — jak im się zdawało — do kresu swych sił; noc spędzili nieopodal kolejowego dworca, skąd kilka razy przeganiała ich policja. Kiedy patrzyło się na tych dwóch mężczyzn, nie można było oprzeć się wesołości, nie można było nie porównać ich do filmów z Patem i Patachonem. Byli wyjątkowo niedobrani: jeden z nich był wysoki, silny i ładny, wciąż się uśmiechał poprawiając opadające na czoło włosy, drugi — był niski, brzydki jak małpa, chuderlawy, a patrząc na jego nędzne ubranie nikt nie przypuszczał, aby człowiek ten miał choć pięć deka masy mięśniowej; ubranie wisiało na nim jak szmata na zeschniętej żerdzi. Był co się zowie chuderlawy i brzydki. Twarz nikt niesympatyczną — zastrachanego króliczka. Kiedy patrzyło się na tych dwóch, odnosiło się wrażenie, że mały jest tylko zniekształconym cieniem wysokiego.

Ranek był pełen słońca i ciepła. Głośno turkocząc po krzywym bruku przejeżdżały chłopskie furmanki. Z okien kamienic wychylały się rozkładane od snu głowy; wynoszono pościel i wymieniano pozdrowienia. Nad rynkiem uparcie kołowała chmurka gołębi i kilkunastu chłopców strzelało do nich z procy. Właściciele sklepów otwierali swoje interesy odsłaniając z hałasem deski. Przed zakładem fryzjerskim stał facet w brudnym kitlu i gryząc pestki słonecznika pluł lupinami z nonszalancją championa; w mosiężnym talerzu złowrogo świeciło oko słońca. Niebo nad miastem wyglądało jak rozpalona emalia.

Wyszy mężczyzna powiedział: — Jak myślisz, czy to daleko stąd? — Do tartaku? — Nie pytam przecież o drogę do nieba. — Wiem — rzekł mały. — Do nieba zresztą nie jest tak daleko, jak to się niektórym wydaje. Można zająć się na kawalku sznurka. A do tartaku także nie powinno być daleko. Ten facet powiedział przecież, że nie dalej jak trzy kilometry.

— Chodźmy — powiedział wyższy. Zagapił się na wieże ratusza i splunął. Potem ruszyli. Wyższy szedł przodem, niższy — pozostrawał o parę kroków w tyle. Zerwał się jakiś pies i głośno szczełając pobiegł za nimi; niższy kopnął go z całej siły w bok i pies skowycząc boleśnie zawrócił. Upał potężniał z minuty na minutę, powietrze stało się żarliwe i dręczące, lekkie, suchy wiatr uderką napełniał nawet cienie. — Cholera — powiedział wyższy. — Czuję się tak, jakbym miał w kościach rozpalone żelazo. Jeśli się ma pusty żołądek, upał dręczy tym bardziej. Człowiek jest pusty od środka i nie ma w nim nic, prócz przekłębego, rozpalonego powietrza. Tak?

Mały milczał. Przeszli kilkanaście kroków i wysoki zapytał: — Czemu nic nie mówisz, do diabła?

— Zaschło mi w gardle — wycharczał mały. — Muszę napić się wody, potem będę mógł gadać. Mnie także się zdaje, że nie mam w środku nic prócz rozpalonego powietrza.

— Nie wolno pić wody, kiedy człowiek jest głodny — powiedział surowo wyższy. — Woda wtedy wysusza tym bardziej. Lepiej zapalić papierosa i starać się wciągać dym bez powietrza. Żołądek wtedy drętwieje i na jakiś czas masz spokój.

— Drętwi zawsze mają spokój — powiedział mały. — Drętwym jest dobrze. Drętwi nie mają nic, prócz spokoju.

— Jeśli nie potrzebują szukać pracy — powiedział wyższy.

— Tam? Tam nie potrzeba pracować. Ani szukać pracy. Można leżeć i przyglądać się z góry jak męczy się tutaj.

Idąc przodem, wysoki zapytał: — I to jest niebo?



MAREK HŁASKO

Rys. JERZY ÓWIERTNIA

Dwaj mężczyźni na drodze

— Tak — rzekł mały. — Niebo jest wtedy, jeśli możemy z daleka patrzeć jak męczy się inni, a nas to nic a nic nie obchodzi.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, potem wyższy rzekł ze wściekłością:

— Jeśli nie przestaniesz gadać o niebie i o śmierci, to zmasakruję cię kiedy. Nie mogę już tego słuchać. Tak jakby naprawdę istniało jakieś niebo. Jeśli wierzyć w niebo, to dlaczego u diabła nie wybierzesz się tam? Możesz się przecież wystrząść o kawałek sznurka.

Mały milczał; na jego pomarszczonej twarzy ukazał się wyraz zawstyżenia. Wyższy szedł w dalszym ciągu przodem, nie obejrzał się ani razu do tyłu; od czasu do czasu kiwał tylko odcierając pot z czoła. Liscie drzew wietrzyły w upał. Droga przed oczami drżała razem z powietrzem, wycichało się o piuc tyjące ostrych nożyków. Mały głośno jęczał i wdychał; kilkakrotnie prosił wyższego, aby pozwolił mu odpocząć, gdyż bał się upaść, lecz wysoki, nie wzruszwszy nawet ramionami, szedł nie zwalnając kroku.

— Mam chore serce — mówił mały. — Przecież ty wiesz, że ja mam chore serce. Jestem bardzo chory na serce już od dziecka. Doktor mi powiedział, że powinienem mieć lekka pracę i nie męczyć się. Przecież lekarze wiedzą, co mówią, oni znają się na chorobach. Czasem w nocy budzę się z przerażenia, że umieram już, że już mnie nie ma. Proszę cię, abys pozwolił mi odpocząć. To potrwa chwilę. Tylko chwilę, potem podniosę się i znowu pojedziemy. Nie chcesz przecież, alym upadł na drodze i zdeptał jak pies. Każdy człowiek powinien mieć przyzwolony groo. Powinien leżeć w prawdziwej trumnie, aby nie parzyć go robaki i nie zgnoić wilgoć. Jeśli nie ma się miejsca na ziemi, powinno się mieć przynajmniej dobre miejsce w ziemi. Proszę cię, pozwól mi odpocząć. Odpocznijmy razem przez chwilę a potem znowu pojedziemy razem. Jesteś przecież moim przyjacielem. Mężczyzna z mężczyzną nie powinien tak postępować. — Zapłakał nagle i powtórzył: — Och, proszę cię, pozwól mi odpocząć.

— Ty ścierwo — mówił wysoki mężczyzna ani na chwilę nie zwalnając kroku. — Ty gupie, słabe ścierwo! Czy ty myślisz, że moim obowiązkiem jest ciągnąć za sobą takiego przekłębego łamagę jak ty? Chyba tak nie myślisz, ty tchórzliwy, słaby króliku! Nie mam żadnego obowiązku! Nikt mnie do tego nie zmusił i nikt nigdy nie zmusił bymnie do tego. Wienawidzę słabych i tchórzliwych facetów. Mam całe nogi pokryte ranami, przy każdym kroku mam ochotę skowyczeć a mimo to idę. Musimy tam dojść przed dziesiątą, bo jeśli się spóźnimy, to inni wydrną nam tę robotę sprzed nosa. Tu całe miasto pełne jest głodnych cwaniaków. Kozumiesz? No, powiedz, czy rozumiesz?

— Rozumiem — mówił mały. — Ale przecież chwilę możemy odpocząć. Dosłownie jedną chwilę. Ani się obejrzyj — i już pojedziemy dalej.

— A jeśli nam wydrną tę robotę — ciągnął wyższy mężczyzna przyspieszając kroku — to znowu przez wiele dni nie będziemy mieli co żyć. Znowu będziesz próbował ukraść bo jesteś słaby i chory i nie wytrzymasz głodu. Pamiętasz prze-

cież jak próbowałeś kraść. Wtedy, na dworcu w tym przekłętym miejscu, gdzie także szukaliśmy pracy. Pamiętasz, jak chciałeś ukraść tę bułkę z kiełbasą?

— Z salcesonem — powiedział smutno mały mężczyzna. — Bułka z kiełbasą kosztuje dużo drożej od bułki z salcesonem. Ja widziałem tam bułki z kiełbasą, lecz specjalnie wziąłem bułkę z salcesonem, gdyż była ona o wiele tańsza.

— Z salcesonem. I czy pamiętasz, jak bił cię wtedy właściciel bułki? Bił cię razem ze swoją przekłętą żoną. Jeśli nie pamiętasz, to ja ci chętnie przypomnę. Tłukli cię jak psa przez kilkanaście minut, potem przyjeżdżała jakaś stara wiedźma z piekarni rodem i szarpiała cię za włosy. I stało wokół ciebie wielu ludzi i wszyscy śmiali się, że taki stary mężczyzna pozwala się bić i pisać, i wszyscy śmiali się z tego, że jesteś taki słaby i chuderlawy, i nikt nie miał dla ciebie nic prócz pogardy i lekceważenia. A ty płakałeś i staniałeś się na nogach...

— Przestań — poprosił cicho mały.

— A ja stałem z boku — mówił wysoki mężczyzna. — Stałem z boku i nie mogłem ci w niczym być pomocny. Nie mogłem ci pomóc, bo nie chciałem się mieszać do tej przekłębnej awantury; wiesz przecież, że policja ma oko na takich jak my. Wiesz, że jak nas złapią, to wsadzą nas do kryminalu i będziemy musieli przez wiele, wiele dni pracować darmo. Ty też nie mogłeś sobie w niczym pomóc bo jesteś chory i słaby. Tak? Jesteś nieodolny. Tak? Jesteś cholernie słaby. I dlatego musisz teraz iść ze mną i musisz starać się iść jeszcze szybciej aby nie ubiegali nas inni gołomi facci, i dlatego uważaj, musimy znowu nie wpaść w jakąś cholerną awanturę. Inaczej będą znowu tłuc cię po twarzy. Musimy iść bardzo szybko. Czy chcesz, żeby każdy, komu to się tylko spodoba, mógł cię tłuc w zęby? Nie chcesz chyba tego. Więc musisz iść ze mną.

— Już w tak wiele miejsc zśliśmy razem — mówił mały z trudem łapiąc powietrze. — I wszędzie czekała na nas nadzieja. Słishy już do tartaków, młynów i fabryk; slishy przez wieś, miasta i miasteczka. Za każdym razem myśleliśmy, że to już właśnie tu, że to już ostatnia nasza droga i że zostaniemy teraz na długo. I za każdym razem nikt na nas nie czekał. I zawsze mimo to idziemy i idziemy. Myślimy, że zastaniemy las lub ogród, a zastajemy tylko pusty plac. Czy naprawdę zawsze musimy tylko iść i iść?

— Musimy iść — mówił wysoki mężczyzna. — Jeśli zostaniemy w miejscu, to tym bardziej nikt do nas nie przyjdzie. Musimy iść nawet wtedy, kiedy ty masz chore serce a ja poranione nogi. Biednym ludziom nie wolno nigdy czekać.

Skreślił z gościnną i znalazł się przy tartaku. Był to niewielki, murowany budynek. Mimo wczesnej pory, kręciło się już tutaj wielu ludzi i wiele furmanek. Wysoki i ostry śpiew mechanicznych pól dochodził aż tutaj, do gościnną. Silnie pachniało świeżo ścięte drzewo, było tutaj bardzo wiele drzewa opadłego w stosy bali, dragów i błyszczących od żywicy desek. Wiotry, którymi grubo usłane było całe podwórko, złożyły się w słońcu.

Wysoki rzekł: — Zapach świeżo ściętego drzewa zawsze działa na mnie tak jak zapach pieczonego chleba. Wiele przypominam. Tam gdzie mieszkaliśmy w młodości było wiele lasów. Drzewa płoneły czasem i często zabijali ludzi, którzy tam pracowali. Kiedy palą się drzewa, niebo wygląda tak, jakby było odlane ze złota; wtedy nawet tym przekłętym świętym musi być gorąco.

Odwrocił się do małego i rzekł: — Teraz pojedziemy do właściciela. Będziemy go prosić, aby nas przyjął do roboty. Jemu potrzeba dwóch silnych mężczyzn. On będzie z nami rozmawiać. Ty musisz stać prosto. Rozumiesz? Musisz stać bardzo prosto. I głowę masz trzymać do góry. Musisz patrzeć na niego z pewnością, lecz nie bezczelnie. I staraj się stać nieznacznie na palcach; staraj się wydać wyższym niż rzeczywistość. Rozumiesz?

— Oczywiście — przytaknął mały. — A ręce? Czy pomyślałeś o moich rękach? W jaki sposób trzymać mam swoje ręce?

— Musisz trzymać je tak, aby on chciał je kupić. Musisz starać się, aby on pomyślał, że jesteś silny, o wiele silniejszy niż w rzeczywistości. Jeśli pokazuje, że jesteś taki słaby, jak jesteś — nie będzie chciał nawet z nami gadać. Powtarzali nam wyraźnie, że jemu potrzeba do pomocy dwóch silnych chłopów. Rozumiesz? Inaczej przepadnie wszystko. On musi myśleć, że jesteś małym, krępy, silnym mężczyzną.

— Tak — odrzekł mały. — Należy w kłatkę pierwszą powietrza. Czy mam nadąć policzek?

— Po co?

— Mam przecież taką chudą mordę jak sam święty Łazarz.

— Nie — rzekł bardzo łagodnie wysoki. — Nie myśl, aby to było konieczne. Twarz nie świadczy o niczym. On tylko nie może poznać, że jesteś słabym, wynęconym włóczęgą. Musi myśleć, że stoi przed nim silny i zdrowy mężczyzna. I wtedy on nas przyjmie. Chodźmy.

Poczęli iść. Wysoki nie szedł jak przodem, z przodu; szli teraz ramie w ramie, jak dwaj równi sobie siłą mężczyźni. Mały zacisnął kciuki i schował je wewnątrz dłoni — słyszał, że to pomaga, modlił się do Boga, lecz beznadziejnie mylił słowa i w pewnym momencie umilkł. Wysoki spojrzął na niego z niepokojem.

— Wyprostuj się — rzekł. — Nie mogę już więcej — powiedział mały. — Już naprawdę nie mogę się więcej wyprostować. I tak czuję, jakby mi kto wsadził w środek pogrzbacz.

Wysoki przystanął. Twarz miał skurczoną przerażeniem.

— Czy wiesz — rzekł — co będzie, jeśli nie znajdziemy tutaj pracy? Znowu będziemy iść wiele kilometrów przez upał i przez deszcz; będziesz zdychać z głodu i wyczerpania; sto razy na minutę będziesz myślał, że nawali ci serce. I nie podejdziesz do nas żaden człowiek z kawałkiem chleba, będziemy tylko my dwaj i głód. Będziesz znowu usiłował kraść. Czy pamiętasz, jak pobił cię ojciec tego chłopca, którego wyrwałś szkolne śniadanie? Potem kazał podejść swojemu synkowi i kazał mu uderzyć cię w twarz, i mówił: „Oto w jaki sposób powinno się traktować złodziei!” I ten dziesięcioletni chłopiec uderzył cię w twarz

— Po co? — szepnął mały. — Po cóż mi o tym przypominasz?

Wysoki ścisnął go za ramię. — Trzymaj się prosto — szepnął. — Biegam cię, trzymaj się prosto.

Weszli na podwórko. Chwilę stali bezradnie oszołomieni hałasem i mnogością obcych ludzi, którzy nieustannie przelatywali wzdłuż i wszerz placu. Jakiś woźnica krzyknął na nich z wysokości swego czubatego nafałdowanego wozu, aoy się usunęli z drogi i przejechali obok nich popędzając konie kłatwami. Pod niskim mężczyzną trzęsły się nogi z przerażenia, wysoki przeżywał silną poruszkę wystającą grdyką. Potem wyższy rzekł:

— Musimy poszukać właściciela.

Jakis człowiek przechodził obok nich dźwigając na ramieniu kilka desek i charczał z wysiaku. Wyższy mężczyzna rzekł do niego:

— Gdzie jest gospodarz?

Człowiek dźwigający przystanął i splunął im pod nogi gęstą śliną. Patrzył na nich przekrwionymi z wysiaku oczyma.

— Gdzieś tu się kręci — rzekł. — Widziałem go przed chwilą. Nie będzie przecież stał w miejscu i czekał.

— Jak go poznać? — zapytał niski.

— Gospodarza zawsze można poznać — oparł człowiek z deskami i splunął powtórnie. — Majowy z ciebie robotnik, jeśli nie potrafisz poznać gospodarza, mój miły. Szukacie tu roboty?

— Niczego zjemy tu nie zgubili — odpowiedział wyższy. — Chcemy zarobić tu po parę groszy i wynieść się do wszystkich diabłów. To wszystko.

Człowiek z deskami roześmiał się ochryple i ruszył dalej. Oni także podeszli aż pod budynek tartaku i tam stanęli ogłuszeni już zupełnie histerycznym jagotem pił. Od huków trząsł się cały budynek.

— Niczego nie znajdziemy tutaj — powiedział żałośnie mały. Wysoki spojrzął w jego załzawione oczy i warknął: — Zamknij mordę! O Chryste, czy ty naprawdę nie potrafisz przestać mówić?

— Nie będę już nic mówić — przytaknął posłusznie mały. — A jeśli przyjdzie gospodarz, czy mam udawać wyższego?

Wysoki nie zdążył odpowiedzieć, gdyż podszedł do nich jakiś inny człowiek. Był niski i krępy jak niedźwiedź, miał krwistą cerę rzeźnika, szorstkie, siwe włosy i puszyste brwi. Ubrany był w czystą, niebieską bluzę robotnika.

— Na co czekacie, chłopcy? — zapytał i brzmiało to przyjaźnie. — Nizszy otworzył już usta, lecz wysoki ze straszną siłą ścisnął go za ramię.

— Przysłishy się dowiedzieć o pracę, panie gospodarzu — rzekł. — Skąd wiesz — zapytał tamten — że to ja tutaj jestem gospodarzem? Widziałeś mnie?

— Coś przecież muszę wiedzieć — powiedział wysoki — jeśli chcę żyć.

— Znajdzie się chyba coś dla was — powiedział gospodarz. — Jessem dobrym gospodarzem, u dobrego gospodarza nie powinno zabraknąć pracy. Kto wam powiedział o tym?

— Mówił nam w miasteczku pewien facet. Mówił, że potrzeba panu ludzi do ładowania drzewa na wagony. Robiliśmy już tę robotę.

Gospodarz patrzył na nich uważnie kołyszając się z nogi na nogę.

— Do diabła — powiedział. — W tych matych miastach jeden facet o drugim łaciecie wie o wiele za dużo. Złoty dwadzieścia na dniówkę? Zgadacie się, tak?

Nie czekał wcale na odpowiedź, odwrócił się i krzyknął na furmankę.

— Tak — pośpiesznie powiedział mały. — Jasne, że się zgadzamy. — Gospodarz spojrzął na niego i mały skurczył się. — Cholera — powiedział gospodarz. — Nie wysiadasz pan za zdrowo. Zmęczony pan cnyba jesteś, co?

— Nie — odpowiedział pośpiesznie mały. — Skąd? Ja zawsze tak wyglądam. Moja twarz nie świadczy o niczym. Jestem silny jak byk, tylko mam taką szczupłą twarz — już od urodzenia.

— Jak byk? — powtórzył gospodarz i zasmiał się. — Żeby wszystkie byki były takie jak pan, nie urodziłyby się ani jedno ciele. Po co pan zalewasz? Musiałeś się pan dobrze nagłogować, przecież ja to rozumem. To żaden wstyd, dziesięć wielu ludzi głodnych jest męsety. Głód jest dziś w powiecie. Tylko po co pan zalewasz? Jestem siarym żołnierzem i nie lubię jak mi ktoś zalewa. Lubie ludzi, którzy wiają prawdę. Tu był taki jeden, który opowiadał, że jest synem hrabiego Potockiego. Wywaliłem go na zbity pysk i nie zatrzymał się, aż na czterdziątę wsi. Nie lubię, żeby mi zalewać. Rozumie pan?

— Ja nie zalewam — powiedział mały. Oczy zaszkliły mu się łzami i zatrzęsała głowa. Nagle krzyknął: — Co pan sobie myślisz, do cholery? Ja jestem mały ale silny jak byk. Jestem krępowszczak. W zeszłym tygodniu na jednej zabawie, poitem trzech takich jak pan, panie gospodarzu. Nacietli się na mnie bo jestem niski i oni myśleli, że jestem słaby. Teraz nie chcą ich przyjąć do żadnego szpitala. Niech pan się zapyta kobiet, jak ja im potrafię dogodzić. Niech on panu powie — szarpnął wysokiego za rękę.

Wysoki milczał. — Powiedz — krzyknął histerycznie niski mężczyzna. — Powiedz panu gospodarzowi.

Lecz wysoki mężczyzna milczał w dalszym ciągu. Twarz gospodarza poczerwieniała i był teraz podobny do rozszłoszonego raka.

— Do diabła — powiedział gniewnie. — Czy pan kpisz ze mnie? Co pan w ogóle wyprawia? Nie lubię jak ktoś staje na palcach i zagłada mi w twarz, cholernie tego nie lubię. Po jakimś czasie pan robi te wszystkie głupie rzeczy? Co pan wyprawia ze swoją gębą? Nie jesteś pan przecież pajacem, tylko robotnikiem. Jestem siarym żołnierzem i nie lubię jak mi łaciec zalewają. Byłem sierżantem w szesnastym pułku, gdzie przysyłało samych kryminalistów i patrz pan — podsunął małemu pod nos ogromną, czerwioną pięść — patrz pan jak ja ich potrafiem trzymać. W tym ręku stawał się męczy jak szmaciane kukiełki. Jeszcze raz panu mówię, abys mi pan nie zalewał. Nie sądzę, aby kobieta miała z pana choć chwilę pożytku i tożumie pan? Ludzie pomagają biednym ludziom, ale tylko takim, którzy wiają prawdę w oczy. Nie baw pan dumem. Nie lubię, jak ktoś ze starożytności zomierza robot idącą a ja sam jestem s arym żołnierzem. Znam się na ludziach, cholernie się znam na ludziach, czy rozumie pan to?

Mały stał przed nim i trząsł się. Wyższy milczał. Na jego twarzy malowało się rozpacliwe postanowienie, aby nie powiedział ni słowa. Patrzył na wierzchołki zakurczonych lip i na stadko wróbił kołujących nad tartakiem. „To koniec — myślał wysoki, silny mężczyzna — to już koniec. Boże, ty widzisz, że to już koniec. Ja wiem przecież, że jeśli będę z nim chodząc, to zdechnę, ale nigdy przedtem się nie najem. Chciałbym się naziżyć. Ja już nigdy i nigdzie z nim nie pójdę. On ma głód w oczach i ci, którzy rozdają pracę, nie chcą tego widzieć. Boże, przecież wiesz, że zdechnę jeśli dalej będę z nim chodząc” — nagle umilkło w nim wszystko i uśmiechnął się. Podworkiem wciąż przejeżdżały naladowane wozy i warczał gdzieś samochód. Gospodarz mówił:

— Nie lubię jak ktoś mnie buja. Nigdy pan nie bujał. Oduczyłem kłamać cały pułk to oduczę i pana. Chcę panu udowodnić, że pan kłamał. — Nie kłamałem! — krzyczał mały i tupał nogami jak rozszłoszony chłopiec. Stała już wokół nich grupa ludzi i przysiliwali się uważnie. „Gospodarz zwrócił się do nich:

— Patrzcie — powiedział — ten mały facet mówi, że jest silny jak jasna cholera. Mówi, że w zeszłym tygodniu pobił trzech silnych chłopów... — Nagle zajrzał małemu w oczy i rzekł: — Podaj mi pan swoją rękę.

Mały usłuchał i posłusznie podał mu rękę. Przysiedli, oparli swe łokcie na obrzymym, spilonym kłocu. Gospodarz powiedział: — No, zobaczmy.

— Nie jestem wcale słaby — powiedział rozpaczliwie mały i zamrugał oczami. — Nie jestem wcale słaby! — krzyknął z całych sił i wybuchnął płaczem.

— Ho-op! — zawołał gospodarz i w jednej chwili uporał się z jego ręką. Ludzie stojący wokół wybuchnęli grzmącym śmiechem. Mały zakrył oczy rękami, lecz podcięty ludzkim śmiechem, skoczył nagle i uderzył w twarz gospodarza.

Nadszedł wieczór. Błądzili po pustawych ulicach. Była to godzina prostytutek, pijanych i głosu harmonii. Nad miastem, w gładkie, ślepe niebo wspaniał się czerwony księżyc. Przed domami siedzieli ludzie i obserwowali przechodniów. Gdzieś zza miasta niósł się głos żołnierzy.

Zapałały się gwiazdy; dachami prze-
mykały koty; ulice pachniały ka-
pastą, wiosną i perfumami pośled-
niego gatunku. Księgic złościł bruki-
ki; przejeżdżały z turkietem doroż-
ki; przed którymś z domów siedział
pijany dozorca i śpiewał baranym
tenorem. — Dlaczego? — zapytał
wysoki mężczyzna — dlaczego mó-
wiłeś mu o tych kobietach? — Nikt
— odpowiedział mały — nie ko-
chał mnie. — Małemu wciąż pu-
chło oko; krwawił, syczał z bólu.
Dzwony na kościółach zaczęły
bić godzinę dziewiątą; ludzie zie-
wali i zawracali do domów; z na-
różnego baru „Pod motylem“ wy-
rzucono pijakę i szurnięto za nim
kapelus. Pijany wskazał ręką na
niebo i powiedział: — A Mańka jest
kurwa jakiej gorszej nie ma — po-
tem podesłał swój kapelus i za-
plakał. Przeszli obok niego, przeszli
przez wiele ulic i znaleźli się za
miastem. Od wilgotnych łak nadcią-
gało świeże powietrze; w ciemno-
ściach przelatywały nocne ptaki.
Niedaleko stąd były mokradła; tam
lubieżnie wrzeszczały żaby.

Daleko przed nimi majaczył
krzyż; ludzie wiejszy zawsze sta-
wiają krzyż na roztajnych dro-
gach, aby Bóg prowadził ich tam
coś idą. Tam dokąd podążają
prowadzi ich bolesna twarz Chry-
stusa. Niski, słaby mężczyzna dojr-
zał ten krzyż i szedł ku niemu;
kiedy zaś doszedł do krzyża przysta-
nął i powiedział do wysokiego, sil-
nego mężczyzny:

— Ja tu odpocznę.
Upadł natychmiast na ziemię i
przyłulił poronioną twarz do chłod-
nej i perlistej trawy. Wysoki po-
wiedział:

— Ja idę dalej. Musimy iść da-
lej, słyszysz?

Mały wstał i poszedł za wyso-
kim. Lecz po kilkunastu krokach
znów usiadł na ziemi.

— Idź — rzekł. — Ja już nie pój-
dę dalej.

Wysoki usiadł koło niego. Mały
mówił — Ja już dalej nie pój-
dę. I nie ruszę się stąd. Idziemy już
wiele nocy i nie widać kresu tej
drogi. Dalej musisz iść sam. Ja tu
zostanę.

Wysoki mężczyzna milczał a po
chwili rzekł bardzo cicho:

— Tak, ja myślałem o tym już
bardzo dawno. To chyba lepsze dla
ciebie. Tam nikt już nie będzie cię
mógł uderzyć ani odepchnąć. Ni-
kogo nie będziesz potrzebował pro-
sić o pracę. Nikt nie zapyta cię
o papiery, nikogo nie będziesz po-
trzebował prosić o nocleg, chleb,
lub wodę. Myślałem o tym już daw-
no, lecz nie chciałem ci tego po-
wiedzieć. Chciałem, abys zrozumiał
to sam.

— A Bóg? — rzekł mały. — Tam
jeszcze będzie Bóg. A jeśli tam trze-
ba będzie prosić o nocleg i pracę
Boga? A Bóg będzie odpowiadać:
nie mam wolnych miejsc, nie mam
dla ciebie żadnej pracy, nie mogę
cię przemocować, musisz iść dalej,
to co wtedy?

— Był kiedyś Bóg — powiedział
wysoki. — Szło się tam i tam był
Bóg. Lecz nie ma już Boga. Zabito
go i pogrzebano. Teraz trzeba tam
iść samemu, przedtem był on, nie-
wiadomy i straszny, ale szedłeś do
kogoś. Teraz idzie się samemu. Nie
ma tam ani bliskich, ani przyja-
ciół, ani wrogów. Dzisiaj już nie
ma Boga. Gdyby dzisiaj szedł na
ziemię Chrystus, nie potrzeba by
go krzyżować; dziś Chrystus sko-
nalby z głodu.

— Bóg — mówił w zamyśleniu
mały i słaby mężczyzna — Bóg nie
przyszedł do nas z Jeruzalem; on
przyszedł stąd, z tego miasteczka,
z przedmieścia, gdzie mieszkają naj-
biedniejsi, bezrobotni i bezdomni.
Szedł tą samą drogą co i my; mu-
żesz pytał o pracę w tym samym
tartaku? I jemu także mówili, że
nie mają nic dla niego. A potem
zabili go bogaci. Był przecież słab-
y i chorowity jak ja. Chociaż nie.
On był wysoki, silny i ładny jak
ty. Dlatego go zabito. Mnie nikt nie
chciałby krzyżować.

Milczeli. Po chwili mały rzekł:
Bogowie także umierają z głodu,
prawda?

— Tak — odparł wysoki.

— Tam już nikt nie przegna
mnie z miejsca, które wybiorę do
snu — mówił mały. — Nikt nie
zapyta mnie o dokumenty. Ani o
kartę redukcyjną. Nikt mi nie po-
wie: młody jeszcze mężczyzna, a nie
wyszedł się zebrać. Nikt nie ude-
rzy mnie w twarz. Nie będę niko-
go prosić o zapomogę. Nikt już nie
spuści na mnie psa. Nikt nie zawo-
ła na mnie policji. Tam już nie
będzie policji, prawda?

— Tak. Tam policja nie ma nic
do gadania.

— I nikt już nie będzie gonić
mnie dalej, abym znów szedł w
deszcz, śnieg czy upał, dlatego, że
gdzieś tam jest facet, który potrze-
buje człowieka, aby mu porąbał
przez dwie godziny kupę drzewa,
prawda?

— Tak — potwierdził wysoki sil-
ny mężczyzna.

— I o tobie nikt mi nie będzie
już mówił: jak on się nie wstydił
wiożyć, ten pański kolega, ten
wysoki, silny, ładny mężczyzna.
Prawda?

— Tak. Nikt ci tego nie powie.

— I nie oszuka mnie już żadna
kobieta. Nie powie mi, że mnie ko-
cha, nawet wtedy, jeśli dam jej pięć
złotych. Prawda?

— Tak.

— I nikt — ciągnął w zachwycie
mały — nikt mnie już nie przegna.
Może będę widzieć coś stamtąd.
Może będę wiedzieć to, czego nie
wiemy my, dwaj mężczyźni na
drodze. Teraz ty odejdziesz, a za-
nim dojdiesz do tego mlyna gdzie
masz dostać pracę, ja już będę tam.

Wysoki milczał. Po chwili rzekł:

— Wybacz mi.

— Co?

— To, co mówiłem. Że powinie-
neś tam pójść. Ja tak nie myśla-

ANDRZEJ DRAWICZ

Prawo do konfrontacji

Zamieszczamy artykuł kierownika literackiego Studenckiego Teatru Satyryków w Warszawie Andrzeja Drawicza, polemizujący z recenzją Agnieszki Osieckiej. Do spraw poruszonych w ohydzu artykułu powrócimy w następnym numerze naszego pisma z okazji omawiania Centralnych Eliminacji Studenckich Zespołów Satyrycznych i Dramatycznych.

RED.

„C o jednak uderżyło mnie
najbardziej w ostatnim
programie (Studenckie-
go Teatru Satyryków —
A. D.) i co jednocześnie
spowodowało mój gorą-
cy protest — to jego wymowa po-
lityczna...“ — pisze kol. Agnieszka
Osiecka w swojej recenzji z „Kon-
frontacji“ („No więc — skonfron-
tujemy...“ — POPROSTU Nr 20).
Zarzut, co tu gadać, nie błądy —
tym bardziej, że opatrzone stosowną
porcją pochałwał pod adresem rytmu,
humoru i scenografii przedstawie-
nia. To go zaostroża — z zestawie-
nia wynika bowiem, że wszystkie
te wartości widowiska służą złej
sprawie. Czy tak? Jako członek ko-
lektwy STS nie mogłem nie pod-
jąć wyzwania, korzystając z praw
dyskusyjnej trybuny.

No więc — skonfrontujmy... Re-
cenzentka zgłasza generalną pre-
tensję o to, że sytuacja ZMP zosta-
ła w programie przedstawiona w
zbyt czarnych barwach. Że wpraw-
dzie „przegięła“, odbierające pra-
cy organizacyjnej charakter ideowo-
wychowawczy istnieją i zasługują
na krytykę — atoli jej nadmiar gu-
bi właściwe proporcje tego, co do-
bre i złe. Pyta dramatycznie: „Czy
naprawdę wszystko co mamy za
sobą, to tylko „dyrgowanie“, „ter-
ror“, a to co nas otacza obecnie,
cała „odwilż“ — to tylko bałagan
i pijatyki?“

Czy naprawdę, szanowna recen-
zentko, pragniecie rzucić nam, aby-
śmy swoje satyryczne składanki
budowali na zasadzie niektórych
referatów sprawozdawczo - wybor-
czych? Żeby były „wyważone“, ide-
alnie proporcjonalne — osiągnieć
tyle i tyle, błędów odpowiednio
mniej... (błędy w takim referacie
są jak szczypta soli w zupie — kon-
sumpcja staje się atrakcyjniejsza!).

Zgódźmy się na taki, całkiem do-
wolny, podział: 90 proc. członków
organizacji to ludzie uczciwi, odda-
ni naszej sprawie i pracujący dla
niej lepiej albo gorzej, a 10 proc.
— nieuleczalni sekciarze, biurokra-
ci i heroldowie kosmopolityzmu.
Znaczą to, że dwugodzinny pro-
gram satyryczny ma prawo przez
niespełna kwadrans chlostać —
oraz resztę czasu zaś musi opie-
wać. Nonsense? Najprawdopodob-
niej tak.

Ale to tylko jedna strona meda-
lu. „Konfrontacja“ Studenckiego
Teatru Satyryków zrodziła się z
odwilży. Nicco na innej wszakże
zasadzie, niż „orkiestra, balet, mo-
delki“ Teatru Estrada, niż stare
szlagiery i brodate dwojczy (tzw.
„młodzieżowej kawiarni“ w „Stylo-
wej“, „udzień „Jam - session“ p.
Leopolda Tymanda. Powiedzmy
ściślej — na przeciwstawnej. Żyć
i grać dla określonego, studen-
ckiego środowiska zapragnęliśmy po-
kazać mu w krzywym zwierciadle
satyry szkodliwe objawy. Jakich
niepokojący przyrwył stwierdzają
ostatnio wszyscy ludzie, którym za-
leży na dobrej pracy organizacji
zetempowskiej.

Recenzentka, która tak subtelnie
podchwyciła poszczególne intencje
scenografa i reżysera, pisząc o „po-
tędze skrótów“ i „dbałości o kolo-
rową plamę“ nie zadała sobie tru-
du odczytania linii przewodniej
programu. Strzelając w naszą stro-
nę z ciężkich dział, argumentami
typu: „II Zjazd nie był zjazdem
bikiniarzy“, „Linia rozwoju ZMP
jest linią wznoszącą się w górę“ —
trafia w plot, na którym nieco
wcześniej, na niedawnym zebraniu
Studenckiego Klubu Dyskusyjnego
wymalowano nam hasła: „Kryty-
kując zachowanie studentów w
tramwaju i stołówce“, „Nawiazu-
jąc do tradycji satyry 20-lecia“. Za-
równo owi dyskutanci jak i autor-
ka próbowali w ten sposób wmo-
wić nam „wszystkoizm“. Pragnęli
nas przekonać o możliwościach
stworzenia widowiska o organizacji

tem. My, ludzie, musimy iść do
końca. Nawet wtedy kiedy nas go-
ni i kiedy nikt nas nie kocha. Mu-
sisz mi to wybaczyć. My, dwaj męż-
czyźni na drodze musimy iść da-
lej.

Musimy myśleć o tym, że może
gdzieś, na innej drodze idą dwaj
inni mężczyźni. Że idą wszystkimi
drogami, że może się kiedyś wszy-
scy spotkamy i dalej pójdziemy już
razem. Nauczysz się dźwigać worki
i deski. Chodź.

Wstał.

— Nigdzie stąd nie pój-
dę — rzekł mały.

— Chodź! — krzyknął wysoki i
brutalnie chwycił małego za rękę.
I kiedy uszli już kawałek drogi,
objął małego ręką i rzekł: — W
tym mlynie na pewno dostaniemy
pracę.

— Trzymać głowę prosto? — za-
pytał mały. — A jeśli on znów po-
zna?

— Nie pozna — powiedział wy-
soki. — My, ludzie, musimy mieć
coś dla siebie takiego, aby nie po-
znali w nas tego inni. Czy inni lu-
dzie wiedzą i poznają to, że my —
dwaj mężczyźni na drodze — je-
steśmy obaj ładni, silni i zdrowi?

A rankiem byli już przy mlynie.

MAREK HŁASKO

„jako takiej“, albo o studentach
„w ogóle“.

Budzimy was, koleżanko Osiecka,
w maju 11 roku Polski Ludowej,
na Uniwersytecie Warszawskim,
który jest naszą macierzystą uczel-
nią! Posłuchajcie o czym rozma-
wiają aktywiści. O zebraniu na fi-
lozofii, wydziale najbardziej prze-
cież ideologicznym, gdzie „nauko-
wo“ udowodniono zanik walki klaso-
wej na obecnym etapie; o podob-
nym zebraniu na innych wydzia-
łach, gdzie padł wniosek, aby do
ZMP dostawano się automatycznie
z chwilą przyjęcia na studia.

Mało wam tych kwiatków z uni-
wersyteckiej łączki? Może potrze-
bujecie dat, okoliczności, nazwisk —
wszystkimi służę na żądanie. Zech-
ciecie jeszcze tylko obejrzeć sobie
ogłoszenia na dziedzińcu i w Domu
Studenta, z których wynika, że
znakomita większość kół znalazła
dotychczas jedną, zasadniczą for-
mę działalności — zabawy tanecz-
ne.

Sprawdźmy jeszcze raz co napi-
saliśmy w konkluzji swoich wywo-
dów:

„Kiedys — mówi „Konfrontacja“
— ZMP było gromadą pokrzywkają-
cych tumanów, terrorizujących bied-
ne „masy“, teraz jest to jeden
wielki bałagan. A tak prze-
cież nie jest (podkreśle-
nie autorki — A. D.). Pierwszą
część stwierdzenia dedykujemy wi-
dzom naszego programu w formie
zagadki — jakimi drogami można
z niego wysnuć takie wnioski (sami
nie potrafimy jej rozwiązać).
Natomiast w drugiej „nie jest pani



„Spowiedź chuligana“

bez racji“, łaskawa koleżanko. Pod
warunkiem, że do „ZMP“ dodamy
przymiotnik „uniwersytecki“, a „je-
den wielki bałagan“ sformułujemy
jakoś łagodniej, np.: „kilka ma-
łych bałaganów“. Mówiąc zaś cał-
kiem serio — atmosfera zamętu,
jaki opanował część naszej uczel-
nianej organizacji, jest zjawiskiem
sprawdzałym (choćby dzięki przy-
taczanym faktom, które można
mnożyć), a więc obiektywnie ist-
niejącym. Pokrzykiwaniem tego nie
zmienimy. Podobne fakty notują i
inne uczelnie, co pozwala stwier-
dzić, że penetracja wrogiej ideolo-
gii, usiłującej w oparciu o bezmyśl-
ność pewnej części aktywu za-
mienić uchwały II Zjazdu w spon-
taniczny odwrót od ideowości — w
środowisku akademickim szczegól-
nie przybrała na sile.

Taka jest geneza „Konfrontacji“
— podchwytującej i przejawiają-
jącej problem, aby w miarę moż-
ności zabiec wrogom drogę. Jej bo-
hater pozytywny siedzi na widow-
ni. To ludzie mniej i bardziej ak-
tywni, ale uczciwi. To nasi sprzy-
mierzeńcy — szeregowi, podoficer-
owie i oficerowie organizacji. Chcemy
im pomóc w szybszym i peł-
niejszym zrozumieniu sensu zja-
wisk, które ich niepokoją. Chcemy,
by pojęli, że wszelka wiara w wy-
łączną „inicjatywę oddolną“ może
spłyć pracę organizacji — że nie
wielu jednemu drzwiami wyperzać
z zabawy prymitywne formy „zbio-
rowego entuzjazmu“ — a drugie
otwierać na oścież dla tradycji kor-
poranckich pijatyk i kosmopolity-
cznego chamstwa. Chcemy, by na
widok „Katakumb“ ukrywających
pokolenie starych aktywistów za-
chnęli się: „No, nie przesadzajmy,
nie jest aż tak źle!“ — ale zaraz
pomyśleli „...jednak coś w tym
jest...“ I nie bez racji — do jakich-
ś to podziemi zstąpić musieli ak-
tywiści wydziału filozofii, by nie
ustąpić, że, na mocy uchwały, u-
cichły nad ich głowami odgłosy
walki klasowej?

Drogi wyjścia zaznaczamy lekko,
w miarę możliwości. Nietrudno jed-
nak ujrzyć ich ślad w piosenkach
radzieckich, które na prawie kon-
trastu sąsiadują z rozwieszczanym
„tancem brzucha“, jaki omal nie
wchodzi już do programu niektó-
rych wieczornic. W pochwałę pro-
stego wzruszenia i szczerego uczu-
cia, którym akompaniuje „wysoka
noc tarzańska“ i słonce pod uni-
wersyteckimi kasztanami — jaka
zostaje wypiewana tuż po rewii
snobizmu i obłudy w „Dialogach
kawiarnianych“. W chóralnym o-
krzyku „Racja“, który zamyka pod
koniec spektaklu stwierdzenie ide-
owej i wychowawczej funkcji ZMP.
Na tyle nas tymczasem stać — peł-
niejszy program wypracowujemy
sobie dopiero wspólnymi siłami ca-
łej organizacji. Majakowski mógł
w „Łaźni“ sięgnąć po pozytywny
kontrast dla swojego Naczdyrdupa
— ale trzeba było na to talentu
jego miary.

My zaś staramy się tylko pamię-
tać o słowach poety:

Nasz obowiązek

wyć

syreny rykiem

We mgle mieszczaństwa

w burzach

nad odmětem.

Pragnąc z całą świadomością
znaleźć się gdzieś w cieniu jego
wielkiej postaci — my, mali ludzie,
chcemy wśród pełnzących jeszcze
dostę nieśmiało mgieł mieszczań-
stwa zabrznieć, przynajmniej
dźwiękiem alarmowym.

Być może dźwięk jego jest jesz-
cze za słaby — być może nie dość
dokładnie i niedwuznacznie przy-
gwoździłszy naszego przeciwnika.
Dlatego nadsluchujemy i notujemy
uwagi krytyczne, odgłosy i opinie
— aby w przyszłości uderzyć le-
piej. Dlatego na zakwestionowanie
całego sensu naszej pracy, przygo-

Sylwetki młodych pisarzy (1)

Ernest Bryll

Kiedys pewien znany pisarz po-
wiedział: „Ja właściwie chętnie
zająłbym się czytaniem. Są jednak
takie sprawy, o których nigdzie nie
mogę nic przeczytać i wtedy biorę
pióro“.

Wydaje mi się, że wiersze Erne-
sta Brylla powstają po uważnej
lekturze poezji współczesnej; ich
własny, odrębny ton polega na u-
porczywym wychwytywaniu spraw
i problemów uporczywie zazwyczaj
pomijanych. Gdy wszyscy pisali
wiersze o budowlach socjalizmu,
aktywiście ZMP — Bryllowi, wy-
starczyło, że przeżył kilka cudzych,
dobrych utworów na ten temat.
On sam pisał wtedy o ludziach o-
szukanych, którzy bez sensu stra-
cili życie na stokach Monte Cassi-
no. Znam tylko jeden wiersz Bryl-
la związany z kalendarzowym nur-
tem historii — głęboko przeżyty,
wzruszający wiersz napisany po
śmierci Stalina.

Gdy nasza poezja zauważa ra-
dości i sukcesy współczesnych —
Bryll z pasją odgrzebuje kłopoty i
zdarzające się nędze ludzkiej eg-
zystencji. Znam szkic nieskończo-
nego wiersza o brudnej, zaniedba-
nej, biednej staruszce z wagą u-
liczną, przy czym rzecz dzieje się
na tle Pałacu Kultury. Szkic był
niedobry, ale odzwierciedla pro-
blematykę tej poezji; Pałac jest
miarą aprobowanych dokonań, mło-
dziutki poeta, pozostawiając innym
jego opiewanie, zajmuje się tymi,
którzy są jeszcze skrzywdzeni i
poniżeni, choć mogliby już nimi nie
być.

Publicystyczna — w dobrym sen-
sie — poezja Brylla jest zawsze
konkretna. Jej ostatni pejzaż — to
Praga 55. Jestem mieszkańcem
Warszawy, Pragę znalazłem jedynie
z wypraw do dwu tamtejszych tea-
trów. Nieraz czytałem w prasie o
praskich chuliganach. Dopiero
jednak po lekturze „Suchotniczej
harmonii“ i „Drewnianych lalec-
czek“ przeżyłem współczesne pra-
skie ulice, zdumiewające dno ludz-
kich wraków: grupki dziwek i lu-
dzi, którzy potrafią zarabiac, ale nie
potrafią żyć. Zarzucano praskim
wierszom Brylla skrajny pesymizm,
fałszowanie zasadniczej aury na-
szego życia. To oczywiście bzdura!
Nie ma w nich nic z bezwyściowości
i, urzeczenia złem, katastrofizmu.
Jest przejmujące wołanie o pomoc
dla tych ludzi.

Mwślę jednak, że Bryll sam nie
bardzo sobie zdaje sprawę z adre-
su czytelniczego swoich wierszy.
Stąd częste w nich powikłania my-
ślowe. Żeby nie mówić w próżni
zajmę się publikowanym poniżej
wierszem „Drewniane lalecзки“.
Zaczyna się on od wprowadzenia
ogólny nastroj gorzkiej szarzy-
ny powszechności. Potem przewa-
ny jest pytaniem „Jak tej szarości
zaradzić?“ W wielu jego wiersz-
ach po znakomitym, nieraz
wstrząsającym obrazie zdarza się
taka łopatologiczna, natrętna apo-
strofa. Następują dalej cztery do-
bre zwrotki. Dobrą poezję zawsze
lepiej cenić niż o niej pisać —
zajrzyjcie więc do oryginału. Wre-



szcie w zakończeniu wiersza autor
zwraca się do jego bohaterów:

„...To tango was zadusi
Jeśli nie rozerwiecie łańcucha
drewnianych dni“.

O święta naiwności! Ludzie z
praskich przedmieść nie czytają
poezji a już na pewno poezji Bryl-
la. To jest wykrzyknik do nikąd.
Może to nam powiedzieć chę poe-
ta: „A to nieprawda, że szczęście
jest tylko w San Stefano“. Cóż
kiedy dla nas jest to prawda ba-
nalna.

Poecl narodowi stają się nimi
dopiero z upływem lat. Jest wielu
dobrych poetów, którzy wiedzą dla
kogo piszą: Konstanty Ildefons
Gałczyński przez długi czas był
poetą inteligentnych drobniem-
szczan. Paweł Hertz jest poetą hamle-
tyzujących inteligentów. Dla kogo
pisze Pryll? Na to wyraźnie wskazu-
je naiwna apostrofa: „Jak tej
szarości zaradzić“

Bryll jest poetą aktywistów i
sam może o tym dobrze nie wie-
dząc, dla nich pisze. Aktywiści —
to znaczy ludzi czułych na los
innych, zdolnych nie tylko do wzru-
szeń ale i do działania. Nie można
z wierszy Brylla zachować w pa-
mieci jedynie ponurych obrazów i
nosić ich pod powiekami. To było-
by ich fałszywe, pesymistyczne od-
czytanie. Odczytać je — to znaczy
zacząć działać. W tych wierszach
— sygnałach na pozór nie ma tonu
pobudki, są tylko marginesy życia
tak koszmarnie, że niesposób się
na nie zgodzić.

Nie pokazując wielkich spraw
epicki, te — chropowate, nieraz
jeszcze — wiersze są przez swą
ogromną wrażliwość na sprawę
człowieczą świadectwem jej wiel-
kości. Bryll jest moralistą. Ale
wiedząc, że trzeba działać, nie bar-
dzo wie jak. W życiu prywatnym
zaczyna mieć pojęcie nihilisty z włó-
sami w nieładzie. Wszyscy nihilis-
ci byli w gruncie rzeczy bardzo
nałwni. Moralistyka wyrasta nie
tylko z wrażliwości, ale i z ma-
drości. Bryll jest moralistą naiw-
nym.

ANDRZEJ DOBOSZ

ERNEST BRYLL

Drewniane lalecзки

Czasami jeszcze tęsknota

Ale to coraz rzadziej

Rozciąga się dzień za dnem

gorzki

bezbarny

podobny...

Drewnieje serce i twarz

Jak tej szarości zaradzić

Nuda rozmięta młodość

Na zaśniedziałe drobne

Co rano jednakie gesty

roboty...

co miesiąc pieniądze

Co wieczór jednak dziewczyna,

nudno że coraz to inna,

Potem noc zapożniła drewniane dnie powłaje

I twarz ma barwę zegara, co stanął o jakiejś godzinie

Czasami pijanym wieczorem śpiewacie ochryple pieśni

w których drż niepokojnie dźwięki ochrzynanych miast

Jękliva, błotnista melodia, brukowe tango z przedmieścia

Patrzy jak pies bezdomny w puste żrenice gwiazd:

— Nad Madrytem już noc...

— Nad Madrytem już noc...

— o seniorritto...

Dzwonią dalekie słowa, obce, szczęśliwe, tajemne

Strzępiaste zachody słońca, wilgotna gorąca ziemia

Kolyszą się cienie palm

podzwrotnikowa ciemność

Niesie nieznaną radość, radość, której tu nie ma.

A to nieprawda, że szczęście jest tylko w San Stefano,

w smukłości drzew kokosowych, w smagłości dziewczyn winnych

Wam nikt nie potrafił pokazać, że dzień się rodzi co rano

Że dzień się rodzi i tutaj krzyczący i ciągle inny

— Nad Madrytem już noc, księżyc włosy rozpuścił

— Nad Madrytem już noc, gwiazdy krągle jak lzy

— Nad Madrytem już noc...

to tango was zadusi

Jeśli nie rozerwiecie łańcucha drewnianych dni.

*

Czasami pijanym wieczorem śpiewacie ochryple i smutno

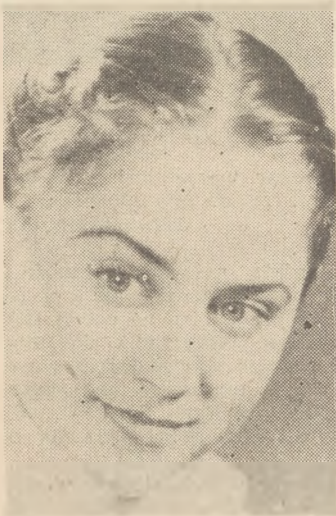
Kolysząc się w mroku ulicy bezbarwni i przygarbieni

Kopiecie ciężkim butem po jednostajnym bruku

Nie dostrzegając pod nim spleśniałej wiosennej ziemi.

Dziś 5 zdjęć w konkursie na najładniejszy uśmiech studentki

Zachowaj ten numer, bowiem po opublikowaniu nadesłanych zdjęć POPROSTU w czerwcu br. przeprowadzi wśród wszystkich czytelników specjalny plebiscyt i wtedy odpowiesz, który uśmiech najbardziej Ci się podobał (udział w plebiscytcie będzie równie szansą do zdobycia nagrody). Przypominamy: zdjęcia uśmiechniętych studentek nadsyłać same studentki oraz ich najbliżsi — do końca maja br. Koleżankom, które czytelnicy uznają za najładniej uśmiechające się — zostaną przyznane liczne i cenne nagrody; nazwiska opublikujemy tylko za zgodą laureatek.



Zdjęcie konkursowe nr 50



Zdjęcie konkursowe nr 51



Zdjęcie konkursowe nr 52



Zdjęcie konkursowe nr 53



Zdjęcie konkursowe nr 54

Jak pracowaliśmy nad projektem

W ubiegłym roku studenci i pracownicy naukowi wydziału architektury dla uczczenia święta 1 Maja zobowiązali się zorganizować konkurs otwarty dla studentów tego wydziału na szkicowy projekt przestrzennego zagospodarowania wsi spóldzielczej Wionczemin Polski w powiecie Gostynin.

Zgłosiliśmy swój udział (oprócz autora artykułu w skład zespołu wchodził: Zdzisław Hryniak, Eugeniusz Onisko i Stanisław Pikula) ale nie liczyliśmy na sukces. Ot, tak sobie, postanowiliśmy „spróbować szczęścia”. Temat był bardzo frapujący i pojętny, nadarzała się również okazja do przestudiowania zagadnień budownictwa wiejskiego i pierwszej poważnej próby sprawdzenia w praktyce swoich wiadomości i umiejętności. To zdecydowało.

PIERWSZA WIZYTA

Wionczemin Polski odległy od Warszawy o około 120 km jest spóldzielnią produkcyjną najwyższego typu, założoną w tej wsi w 1949 r. Okolica tworzy rejon spóldzielczy, w którym Wionczemin stanowi jakgdyby centrum.

Pierwsze spotkanie z wsią nastąpiło wiosną ubiegłego roku. Pojechaliśmy tam autobusem. Rozległa woda wódzkie zagrzały drogę. Mijaliśmy je brnąć po kostki w błocie.

Obszar wsi był inny niż go sobie wielu z nas wyobrażało: niziny, w formie mekiki, pocięty rzędami wierzby i grupami drzew owocowych. Nie znaleźliśmy tu ciekawszej rzeźby terenowej. Nawet Wisła zasłonięta jest wałami przeciwpowodziowymi.

Na wspólnej pogawędce w budynku szkolnym chłopcy mówili nam: „Chcemy mieć wygodne mieszkania, konieczne z wodą i łazienką. Elektryczność już mamy”. Spóldzielcy żądali wiele, wypowiedzi ich były rzeczowe i trafne. Podziwialiśmy zdrowy rozsądek i słuszną ocenę przydatności wielu przedsięwzięć przez nich projektów. Wszystkie propozycje notowaliśmy skrzętnie w pamięci.

TRUDNOŚCI SIĘ MNOŻĄ

Po powrocie do domu zabraliśmy się do wstępnej pracy nad projektem z nowym zasobem wniosków i wrażeń. Nielatwo było powiązać

nowe elementy z już istniejącymi, by uzyskać pewną kompozycyjną całość. Trudności wprost mnożyły się. Nadchodziła sesja egzaminacyjna i pracę naszą musieliśmy chwilowo odłożyć. Obawy jednak, że projekt przeskodzi nam w studiach okazały się nieuzasadnione. Przeciwnie, w opracowywaniu go znajdowaliśmy nowy bodziec do nauki, a przestudiowanie materiału z dziedziny budownictwa wiejskiego i urbanistyki uzupełniało i rozszerzało nasze wiadomości.

Wreszcie po wielu zażartych sporach wybraliśmy jedną spośród kilkunastu koncepcji generalizujących zadanie. Jednak i ta ostatnia przy opracowywaniu szczegółów stale ulegała zmianie. Trzeba było nieustannie wносить korekty i wiązać w funkcjonalną całość ośrodek mieszkaniowy z ośrodkiem gospodarczym, społeczno-kulturalnym i przetwórczym. Długo szukaliśmy recepty rozwiązania myląc się ciągle i zmieniając rozpracowane przedtem fragmenty. Gdy uporaliśmy się np. z rozmieszczeniem działek w zabudowie mieszkaniowej — wtedy ośrodek kulturalno-społeczny wydawał się jakby doczepiony u nasady drogi. Należało go przesunąć i to w taki sposób, by nie naruszać skomponowanej już całości. Również wiele trudności mieliśmy z umieszczeniem boiska sportowego. Długo wybieraliśmy mu miejsce, aż wreszcie zdecydowaliśmy się zaprojektować go obok jeziora w sąsiedztwie ośrodka pracy.

POGODZILIŚMY SIĘ

Wreszcie po kilkumiesięcznych sporach uzgodniliśmy nasze stanowiska. Znowu nastąpił wyjazd na wieś. Jechaliśmy z gotowym prawie projektem i z niemalą treścią. Chłopi po obejrzeniu kilku prac konkursowych najbardziej pozytywnie ocenili naszą, jednakże i do tego projektu mieli pewne uwagi i zastrzeżenia. Zaproponowali na przykład, by stadion, z którym mieliśmy tyle kłopotów, przenieść bliżej szkoły, gdyż teren jest tam wyżej położony, a również ze względów ekonomicznych miejsce to wydaje się bardziej dogodny. Nie mogliśmy nie przyznać im racji. Również i w innych wypadkach mieli zdecydowanie słuszną. Ostatecznie Wionczemin Polski zaprojektowaliśmy uwzględniając wszystkie potrzeby mieszkańców. M. in. zabudowę mieszkaniową umieściliśmy wzdłuż

dwóch dróg: jednej prowadzącej od ośrodka produkcyjnego do szkoły oraz drugiej zmierzającej od ośrodka produkcyjnego ku Wiśle.

Miedzy szkołą a placem celowo zaprojektowaliśmy domki mieszkalne dla nauczycieli i robotników sezonowych (po prawej stronie drogi), wiąząc ściśle ośrodek kulturalno-administracyjny z zabudową mieszkaniową. Stwarza to bezpośredni kontakt mieszkańców z administracją, kulturą i punktami usług. Teren znajdujący się w rozwidleniu dróg stwarza pewien areal potrzebny mieszkańcom zieleni. Znajduje się tam przedszkole i żłobek, otoczone zabudową mieszkaniową.

WSZECHSTRONNA KORZYŚĆ

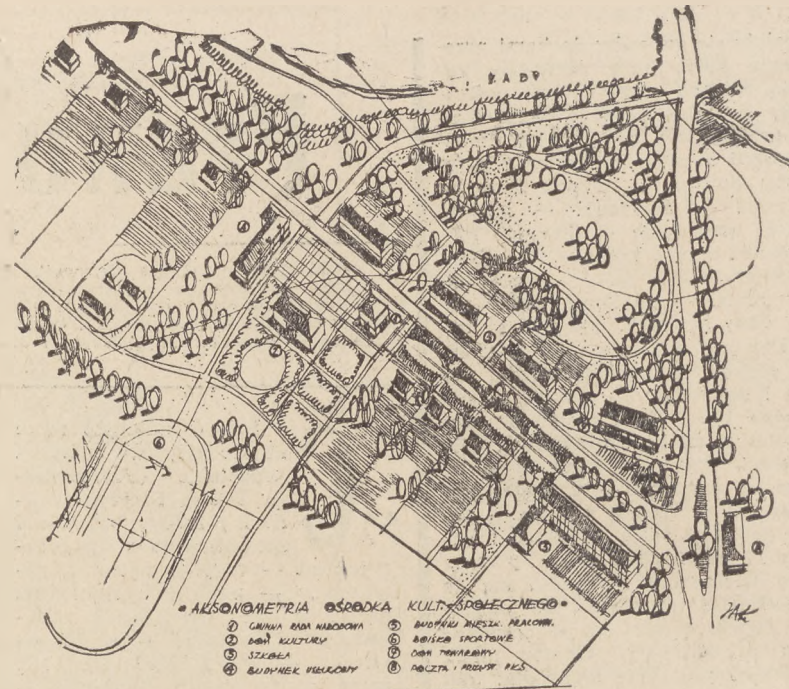
Wypada teraz odpowiedzieć na następujące pytania: co dał nam ten konkurs?

Konkursy tego typu wytwarzają wśród zespołów nastroj szlachetnego współzawodnictwa i rzetelnej pracy. Kształtują samodzielność i wyrabiają poczucie własnej odpowiedzialności za wykonywaną pracę. Odnależliśmy w niej siebie i pasję do zawodu. Zmusiła nas do pogłębienia wiadomości i umiejętności swego rzemiosła. Jak pochłania studentów problematyka konkursu niech świadczy fakt, że do drugiej jego części na projekty wybranych budynków zgłosiło udział 20 kiluosobowych zespołów.

Spóldzielczość produkcyjna znosi różnice między warunkami życia w mieście i w wsi. Domy Kultury, żłobki, przedszkola i szkoły, szpitale, estetyczne, wygodne, zelektryfikowane i skanalizowane mieszkania, właściwie zaplanowane i urządzone zabudowania gospodarskie — to przyszłość, która już dziś puka do chłopiejskiej zagrody. Wszystko to wymaga zerwania z dotychczasowym szablonem w układzie wsi polskiej, wymaga nadania jej nowego wyglądu.

Stoi więc przed nami, przyszłymi architektami, poważne zadanie, do którego musimy podejść w sposób nowatorski i z sercem. Wielka to radość i zaszczęt dla nas, jeśli swym projektem, który ma zostać zrealizowany, przyczyniliśmy się choć w małej mierze do sprzecyzowania architektonicznego wyglądu naszej nowej, spóldzielczej wsi.

JERZY JAKUBCZAK
student V roku
wydz. architektury PW



Aksonometria wycinka naszego projektu.

O życiu w kosmosie

(Dokończenie ze str. 1)

te stopniowo tracą zdolność odbijania promieni podczerwonych, stając się pod tym względem bardzo podobne do tego, co obserwujemy w ciemnych obszarach na Marsie. Wydaje się, że zakończenie doświadczeń Tichowa nad przystosowywaniem się roślin do warunków marsjańskich będzie chyba ostatecznym argumentem na rzecz istnienia na Marsie roślinności.

OPOZYCJA FIESIENKOWA I JEJ KRYTYKA

Pewien sprzeciw tym przypuszczeniom wyraził stosunkowo niedawno akademik Fiesienkow, który oparł się na innych danych obserwacyjnych. Myśl Fiesienkowa jest niewątpliwie w zasadzie słuszna. Twierdzi on, że obszary „martwe” na każdej planecie tym się różnią od obszarów pokrytych roślinnością, że obszary martwe wypromieniowują całe padające na nie promieniowanie słoneczne, a obszary „żywe” część tej energii „magazynują”, zamieniając ją na energię chemiczną i biologiczną. Obszary żywe powinny zatem „wypromieniowywać” mniej energii, niż je otrzymują od Słońca. Obliczając na podstawie danych obserwacyjnych jaki ułamek energii promieniowania słonecznego „zatrzymują” ciemnozielone obszary Marsa, Fiesienkow doszedł do wyniku negatywnego. Wypadło mu z obliczeń, że ułamek ten jest równy zeru.

Należy jednak mieć na względzie to, że wyniki obliczeń Fiesienkowa nie są zbyt dokładne dlatego, że autor musiał użyć w swych obliczeniach danych obserwacyjnych stosunkowo mało dokładnych. Nie też dziwnego, że wynikiom tym nie ufamy w tym stopniu, by zaprzeczyć na ich podstawie istnieniu roślinności na Marsie. Skłonni jesteśmy raczej interpretować je jako okoliczność wskazującą na to, że owa domniemana roślinność na Marsie jest bardzo uboga, skąpa. Tego też moglibyśmy się spodziewać wiedząc, że ogromne obszary tej planety są właściwie gołą pustynią; jeśli są stosunkowo małe obszary, w których roślinność utrzymała się, musi ona być stosunkowo uboga. To, że owe małe obszary utrzymują barwę zieloną w lecie, jest jeszcze jednym argumentem na rzecz przekonania o istnieniu tam roślinności. Istotnie, gdyby te zielone obszary były martwe, czerwone piaski z ogromnych obszarów pustynnych dawno musiałyby je zasypać. Zdolność regeneracji zielonej barwy przez małe obszary na Marsie jest wyłączną właściwością roślin; mamy w ten sposób dodatkowy argument na korzyść naszego przypuszczenia o istnieniu na Marsie roślinności.

Mars jest planetą, która dawniej posiadała warunki bardziej sprzyjające rozwojowi życia niż dzisiaj. Wiemy dobrze, że każda planeta znajdowała się kiedyś nieco bliżej Słońca i posiadała bardziej gęstą atmosferę. Znacząco to, że kiedyś na Marsie życie posiadało bujniejsze formy, może nawet wyższe formy, niż dziś. Ewolucja tych wyższych form mogła iść dwojako. Albo w związku z coraz bardziej pogarszającymi się warunkami życia, wyższe formy zagięły, wymarły. Albo też umiały się ochronić przed niszczycielskim działaniem stopniowego obniżania się temperatury i rozrzedzania się atmosfery, co by oznaczało, że posiadały nieprzeciętną inteligencję. Jeśli zatem na Marsie są jakieś istoty ze świata zwierząt, muszą posiadać wysoką inteligencję, w przeciwnym bowiem przypadku nie mogłyby się ochronić przed wymarciem. Nysł więc o istnieniu rozumnych Marsjan nie jest wcale tak niedorzeczna jakby się wielu z nas na pierwszy rzut oka mogło zdawać.

Mgr ROMAN LAZARSKI
asystent WSR — Kraków

WŁODIMIERZ ZONN

Dyskusja o systemie studiów (6)

Jeszcze przeciw szkolarstwu

Przyznam się, że ostatnio nie czytywałem POPROSTU. Praca zawodowa spowodowała, że zupełnie zapomniałem o naszym studentkim piśmie. Kilka dni temu w przypadkiem przeglądającym numerze z dn. 17. IV. zelektryzował mnie tytuł: „Studia czy szkolarstwo”. Był to temat, o którym myślałem niejednokrotnie. Artykuł przeczytałem z zainteresowaniem (potem przeczytałem cały numer) i... postanowiłem zabrać głos.

Zgadzałem się w zupełności z autorami wspomnianego w wstępie artykułu, chciałem dorzucić kilka własnych spostrzeżeń i uwag — a przede wszystkim podsumować całość w postaci kilku jasno sprezygowanych postulatów.

W wieku XX całokształt wiedzy w jakiegokolwiek dziedzinie, czy będzie to astronomia, czy agrotechnika, obejmuje zakres nie do opanowania przez jednostkę. Każdej specjalności poświęcone jest wiele setek tomów. Nawet najpracowitszy i najzdolniejszy student, przy najszerszym programie, po ukończeniu uczelni stoi wobec zadania dalszej nauki w obranym kierunku, wobec nowych zagadnień i konieczności wykazania własnej, twórczej inicjatywy.

Czy jest do tego przygotowany? Śmiem twierdzić, że nie. W jaki sposób zdobywa on wiedzę przewidzianą w programie studiów? Treść wykładu powtarza i objaśnia się na ćwiczeniach o charakterze repetytoryjnym, potem materiał walczy się w grupach samokształceniowych pod kierunkiem najlepszych studentów. Wreszcie tak spręparowany materiał student „wkuwa na białe” i... zdaje egzamin. Jeśli czegoś nie umie mówić: „tego nie było na wykładzie” lub gorzej: nie byłam na tym wykładzie, jestem usprawiedliwiony”. (autentyczne!).

A jeśli nie zda? Wtedy szuka się winnych: asystent (nie wyjaśnił), profesor (złe wyłożył) — to już zwykle mówi się „w imieniu grupy” lub „roku”, opiekun grupy (nie przypilnował), starosta, kierownik grupy samokształceniowej pracowni i zdolniejsi koledzy (sami zdali a innym nie pomogli).

A student? Student jest „niewinny” — on nie rozumiał materiału, jak więc mógł się nauczyć? Student ci są przekonani, że obowiązkiem ich jest „wkuwanie”. Myśl, że wiedzę należy zdobywać o własnych siłach jest im na ogół zupełnie obca. Sytuację pogarszają t. zw. „pytania” do egzaminu, sprowadzające naukę do przygotowania i „obkucia” kilkudziesięciu odpowiedzi,

Jakie proponuję środki zaradcze? Wykład powinien być bardziej twórczy i obejmować raczej tylko fragmenty wymaganego materiału — oczywiście głębiej ujęte. Pozwalają już dzisiaj na to w zupełności coraz liczniej wydawane podręczniki i skrypty — coraz łatwiej dostępne fachowe wydawnictwa radzieckie. Należałoby rozbudzić twórczy krytycyzm, przedstawić metodę i perspektywę badań naukowych.

Ćwiczenia winny mieć w miarę możliwości charakter seminaryjny i muszą omawiać jak najwięcej zadań związanych z materiałem, lecz wymagających wykazania własnej inicjatywy. Wreszcie zespoły samokształceniowe. Mogą one pomagać tym, którzy przejściowo mają jakiegoś braku (np. z powodu choroby, ujawniającego się w zaległości ze szkoły średniej, szczególnie trudności w którymś z przedmiotów ubocznych). Mogą przeprowadzać dyskusję nad ciekawszymi lub trudniejszymi partiami materiału. Nie powinno to być jednak w żadnym wypadku walcowanie przedmiotu pod kątem widzenia egzaminu, ani też regularne korepetycje udzielane przez najlepszego w zespole.

Więcej pracy samodzielnej! To nic, że nad jedną trudną stroną trzeba posiedzieć początkowo nie raz i pięć godzin, zanim umysł wdrowy się do samodzielnego myślenia; da to więcej korzyści niż bezmyślne „wkuwanie” całego skryptu.

W związku z tym powstaje pytanie: kiedy pracować samodzielnie?

Moim zdaniem dyscyplina nie powinna obejmować wykładów. Sądzę, iż twierdzenie: „każdy student korzysta z każdego wykładu” jest niesłuszne. Uważam, że studentów nie można traktować jak dzieci. Każdy winien sam zorientować się, które wykłady ułatwiają mu naukę i przygotowanie do egzaminu. Przymus tu nic nie pomoże.

Natomiast należałoby zastrzyć dyscyplinę ćwiczeń (zwłaszcza laboratoryjnych) oraz rygorowych egzaminów i kolokwium. Za czasów moich studiów trzykrotnie opuszczenie ćwiczeń bez usprawiedliwienia powodowało automatyczne skreślenie z listy. Dyscypliny studiów jeszcze wtedy nie było — ale frekwencja na ćwiczeniach była, o ile pamiętam, lepsza niż dziś.

Wreszcie następna sprawa.

Niejednokrotnie profesor czy asystent powodowany „dobrym sercem” lub chęcią „wykonania planu uczelni” zbyt pobłażliwie egzaminuje studentów, zwłaszcza na pierw-

szym roku. Sądzę, że szkodzi i uczelni i studentom. Młodzieniec 17-letni nie zawsze dobrze orientuje się w wyborze kierunku studiów. Czy nie lepiej wcześniej otworzyć mu oczy? Czasem bumelanctwo i nieuctwo wynikają z braku zainteresowania, do którego nierzaz na wyższych latach wstyd się przyznać. A ile traci państwo, które łożą na studenta czasem nawet przez 4 — 5 lat zanim ten ostatecznie odpadnie!

Czy wiesz...

O cennych usługach CIDNT-u

Pracujesz naukowo, potrzeba ci szeregu cennych informacji o najnowszych zdobyczach wiedzy technicznej na świecie, chcesz głębiej poznać jakieś zagadnienie, ale brak ci fachowej literatury. Szukasz do opracowania swego projektu materiału pomocniczego — i nie znajdujesz go. Nieznajomość obcych języków uniemożliwia ci korzystanie z fachowej prasy zagranicznej. Błaskas się po bibliotekach w poszukiwaniu podręcznika czy innej publikacji mówiącej o problemie, który cię interesuje. W wielu wypadkach tracisz na próżno drogocenny czas i nerwy.

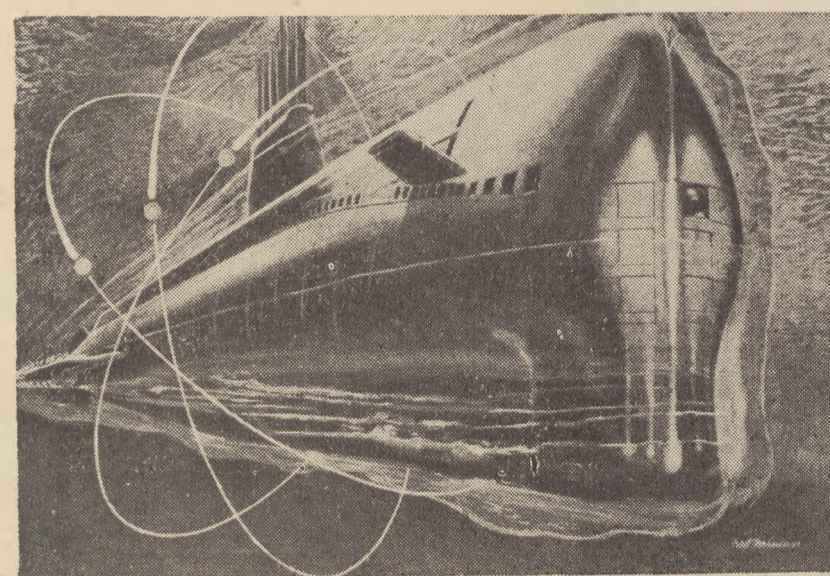
A wszystko dlatego, że nie wiesz o istnieniu CIDNT-u, instytucji, która ułatwia wszystkim (a szczególnie pracownikom nauki i techniki oraz studentom) korzystanie z osiągnięć postępu technicznego zawartego w tysiącach czasopiśmie i podręcznikach wydawanych na całym świecie.

Na czym polega praca Centralnego Instytutu Dokumentacji Naukowo-Tech-

nicznej? Z powodzi artykułów w czasopiśmie wybiera się najbardziej wartościowe, najbardziej przydatne dla potrzeb naszej gospodarki narodowej. Następnie sporządza z nich krótkie streszczenia pod kątem praktycznego wykorzystania. Do streszczenia dołączane są informacje bibliograficzne ułatwiające odszukanie artykułu (nazwisko autora, tytuł, nazwa, numer czasopisma, ilość stron, język artykułu itp.). Całość powyższych informacji zamieszczana jest na karcie dokumentacyjnej.

Karty dokumentacyjne informują nie tylko o artykułach, książkach, patentach i innych publikacjach. Można się dowiedzieć z nich również o pracach naukowych, dysertacjach, pracach magisterskich i dyplomowych wykonywanych na wyższych uczelniach.

Karty dokumentacyjne rozsyłane są do zakładów produkcyjnych, centralnych laboratoriów, instytutów naukowych i do odbiorców indywidualnych. Prenumeruje je również większość wyższych uczelni.



Atomowa łódź podwodna (reprodukcja z archiwum CIDNT).

Wszystkie karty dokumentacyjne gromadzone są również w Centralnej Kartotece w CIDNT. Kartoteka ta znajduje się w Warszawie przy Al. Niepodległości 188 i czynna jest w godzinach 8,30—15,30.

Zdarza się często, że przedsiębiorstwo realizując plan postępu technicznego — poszukuje materiałów informacyjnych dotyczących wprowadzenia nowego procesu technologicznego, instalowania nowych urządzeń, badania surowców czy stosowania materiałów zastępczych itp. Zakład naukowy lub katedra prowadząc badania naukowe dąży do uzyskania możliwie kompletnej i najnowszej literatury dotyczącej przedmiotu badań naukowych, metodologii organizacyjnej pracy naukowej. Zarówno zakłady produkcyjne jak i zakłady naukowe mogą i w powyższych wypadkach uzyskać cenną pomoc ze strony CIDNT — w postaci tzw. tematycznych zestawień dokumentacyjnych. Zestawienie dokumentacyjne jest to wydruk, najbardziej wartościowej literatury na temat sprzyjający przez zamawiającego. W zestawieniu tym przy każdej pozycji podane są informacje bibliograficzne oraz krótkie streszczenie publikacji; zestawienia dokumentacyjne obejmują pozycje książkowe, broszury, artykuły, patenty i inne publikacje w języku polskim i w językach obcych.

Zdarza się często, że poszukiwane przez nas publikacje rozproszone są w różnych zbiorach dokumentów jak na przykład: bibliotekach, muzeach, urzędach patentowych, instytucjach naukowo-badawczych itp. Bywa i tak, że cenny dla nas materiał znajduje się poza granicami kraju. Pracownicy służby dokumentacyjnej przychodzą zainteresowanemu z pomocą — udzielają dokładnych informacji o miejscu znajdowania się poszukiwanych dokumentów. W wypadku trudności ich uzyskania na rynku księgarskim czy w bibliotekach — CIDNT lub Ośrodki Dokumentacji sporządzą na zamówienie fotokopie lub mikrofilm poszukiwanych publikacji.

Ośrodki Dokumentacji w branzowych instytucjach naukowo-badawczych i CIDNT udzielają również indywidualnych porad bibliograficznych i przychodzą z pomocą w wyszukiwaniu potrzebnej literatury. Wymienione wyżej formy usług dokumentacyjnych stanowią cenną pomoc dla studentów (szczególnie uczelni technicznych, ekonomicznych i rolniczych) dla dyptomantów, magistrantów i wszystkich pracowników nauki.

„Śpiewanie” i myślenie

„Przekonywam się raz po raz, że oni nie umieją rozumować. Potrafią mówić o praktyce, egzaminach. Dziwczęta — oprócz tego — o sruwach. Na zebraniach wiadomo z góry, co kto powie. Wystarczy zapamiętać kuka formuły i cyfr. Zauważyłem, że gdy nie mogą ze sobą rozmawiać, zaczynają śpiewać. Właśnie śpiew uważam od obowiązków myślenia”. (Leningrad: „Dzień i noc”).

Bylem przypadkowo na dwóch zebraniach grup ZMP w jednej z warszawskich uczelni. Na pierwszym omawiano sprawę personalną kol. Janka X.: ocaseparował się on od kolektynu i grupy zajętej rozeniem osobistej kariery. Na drugim — dyskutowano o „Obywateliach”. Pierwsze zebranie było „robocze”, drugie — „odświętne”, pierwsze — „praktyczne”, drugie — „teoretyczne”: oba nudne. Nie nuda słońca mi nie jednak do rozmyślań, lecz jaskrawa odrębność w stylu obu zebrzań.

Kiedy przyszedłem się kunsztownemu doborowi terminów i pojęć, padających podczas dyskusji o książce Brandysa, barokowym wygibasem myślowym, które miały wyrażać ogrom erudycji, a były jej karykaturą — zastanawiałem się, dlaczego ta, pretensjonalna zresztą, i zjadłaś młodych ZMP-owców nie znalazła zastosowania w poprzednim zebraniu. Ow Jank X miał w sobie sporo cech Pawła Czyża, miał też, niestety, zadatki na Łękoła.

Jakież to pasjonujące zadanie w codziennej praktyce ZMP-owskiej posługiwać się doświadczeniami ulubionej książki; mówiąc o książce — uzbogacać ją spostrzeżeniami z własnego życia. Wykrywanie łączności między nauką, sztuką a życiem to piękny cel i zarazem głęboki „ens naszej roboty ideowo-wychowawczej. Dyskultanci przegapili tę łączność.

Podzieliłem się swymi impresjami ze znajomym, profesorem uczelni, na której studiuję Jank i jego koledzy. Profesor, człowiek zwykle opanowany, wybuchnął:

„Przebież ci ludzie zapomnieli już, że istnieje czynność zwana samodzielnym myśleniem. Osobisty trud

i osobistą przyjemność zdobywania wiedzy zastępują papuzim wykrzykiwaniem kilkunastu oklepianych sentencji i cytatów, które są tak słusne, że pasują właściwie do każdego problemu, a tak ogólne, że nie wyczerpują żadnego. Na egzamin przychodzą obkuci na „b. dobrze”, a w dwa dni potem wszyscy ko zapominają. Powierzchność i apatia intelektualna!!!”

Istnieje zasadnicza sprzeczność między linią generalną naszej polityki wychowawczej a okrzykiem mego profesora. Okrzykiem, dodajmy, usłokrońonym przez spostrzeżenia wielu ludzi, którym rozwój młodzieży leży na sercu. O źródłach i obawach tej sprzeczności, słów parę.

Moim zdaniem załóżki owej niechęci do myślenia u studentów są jeszcze przedstudenckiego chowu. Nauczyciele, w służnej chęci przekazywania do młodych głów maksimum własnej wiedzy, nieraz chcą wpakować przy okazji i własne manieri myślowe, własne „dorosłe” upodobania, własną dojrzałość (a często pompatyczność) sformułowań.

Byłem na dyskusji w podwarszawskiej szkole podstawowej Tematem była praca teatru. Po półgodzinnej gawędzie prelegenta-aktora zaiegła kłopotliwa cisza. Gorączkowy szepot nauczycieli i wstaje młoda dziewczyna: „Jak przygotowują się teatry Polski do obchodu wielkich rocznic Światowej Rady Pokoju i roku romantyzmu?”. Znowu cisza, potem nieśmiało pyta: czy aktor-komik może grać tragiczne role, czy są jeszcze w teatrze suflerzy, jak długo trwają próby... Tu interweniuje „pani”: Proszę pytać o sprawy poważne.

Myślę, że to dobrze, jeśli młodzież interesuje się wszystkim. Ciekawość to przywilej jej wieku. Ciekawość problemu to pierwszy krok do prób samodzielnego rozszyfrowania go. Błądzą cziele fałszywej pryncypialności. Propagatorzy nieustannego bicia w wielki bęben patosu, którzy zapominają, że sami w młodości lubili filuterną grę na grzebieniu.

Wszelkie sztuczne bariery, wszelka dorosła cenzura młodzieńczych marzeń, zainteresowań i miłości wiedzie młodzież na manowce bez-

myślności. Bo jeśli istnieją tematy frapujące, o których myśleć nie pozwalają i istnieją tematy zalecane do myślenia, o których myśleć się nie chce — to najłatwiejszym przezwonem tego biednego kota — jest ucieczka na wagary. Przed egzaminami dojrzałości trochę przysiedzi się jaldów, oklamie się profesorów okruciami wiedzy, zdobytymi podczas kilku nieprzespanych nocy i idzie się na wyższą uczelnię — z głębokim przekonaniem, że nie ma tak trudnego problemu, którego by się nie udało „prześpiewać”, „Prześpiewać” — to znaczy zastąpić myślenie samodzielne — schematyczną, powierzchowną namiastką.

Powtarzam, młodzież przychodzi na uczelnię już zaprawiona do ulgowego trybu w myśleniu. Zbyt wygodnie byłoby jednak zwałać winę na profesorów: „bo nas źle uczyli”. Zbyt wygodnie jest także szukać przyczyn zła tylko w niewłaściwym systemie wykładow i egzaminów; w rygorystycznej i życiowej dyscyplinie studiów. Zasadniczy błąd tkwi w postawie samych młodych.

Andrzej Radek, Teofil z „Nieba w płomieniach” i ich rówieśnicy umieli myśleć. Źródła tej umiejętności trzeba szukać w spisie ich lektury. Zarówno polscy tomiki Renana, Nietzschego, Platona, Marksa i Spencera. Na pewno ten bigos autorski utrudniał im krystalizację samodzielnego sądu. Trudno młodzikowi zawyrokować o słuszności jednego prawa, potępić drugie. Ale wyrokowali. Och, oczywiście błędzi; często zmieniali autorytety, upodo-

bania, sympatie. To „czyhanie na swego boga” może nas dzisiaj napawać leciutką ironią. My, którzy mamy Haincheina i Wipperę, nie musimy się głowić nad Renanem. Ale ilu z nas czytało Haincheina?

Wielu aktywistów młodzieżowych uważa po cichu, że do rozwiązywania trudności zbędne jest doszkolenie polityczne, na które zresztą brak czasu; wystarczy im „wytyczne klasowe”. Ta ślepa wiara we własną mądrość wiedzie prosto na manowce bezmyślności. Tu tkwi jedno ze źródeł odintelektualizowania naszej pracy ZMP-owskiej. Zdania jej na żywioł „wytycznych” i nacelowania na płaski utylitaryzm „roboczych zadań chwil”. Oczywiście, żaden niedouczony aktywista nie odważy się przynąć do swego nieuciwia. Maskuje je dymną zasłoną cytatów.

Wiele jest przyczyn i przeróżne są objawy zjawiska, które wzburzonego profesor z początków mego artykułu określił, jako intelektualną apatię. Wszystko sprowadza się do generalnego wniosku: Państwo ludowe otacza młodzież wszechstronną opieką, daje jej możliwości nauki, zapewnia pracę po studiach. Złe, jeżeli młody człowiek, widząc, że jego umiejętności są społeczeństwu niezbędne potrzebne, stosuje wobec siebie tryfnię ulgową. Jeżeli zapomina, że nie sama jego osoba stanowi przedmiot społecznego zapotrzebowania, lecz jego obiektywne wartości zawodowe i intelektualne. Jeżeli, zamiast myśleć, zadawala się „śpiewaniem”. Bo życie — to nie opera.

WITOLD FILLER

Jeszcze w sprawie studiów dziennikarskich

Jeśli brnąć sprawę z grubszą, to pierwsze rozczarowanie do systemu studiów dziennikarskich przyszło po pierwszym roku akademickim, drugie — po drugim, trzecie — po trzecim. Postaram się to wytłumaczyć.

Po pierwszym roku studiów pojechałem na miesięczną praktykę i tu w obliczu wymagań redakcyjnych (tych zmniejszonych, dla praktykantów) zasób swoich kwalifikacji dziennikarskich musiałem uznać za skąpości. Może za dużo tutaj powiedziałem się: kwalifikacji. W każdym razie dobitnie przekonałem się, że istnieją dwa różne światy: świat dziennikarstwa na uniwersytecie i świat — realny — dziennikarstwa: spotkań z ludźmi, z problemami, umiejętność obserwacji, uporaćkowania myśli, analizy i krytycyzmu.

Zaczęłem patrzeć — pardon: gapić się na to, co się dokola dzieje. Okres praktyk szczęśliwie zbiegał się z lekkiem, związany z urlopem, „wydaktowaniem” gazety. Wkręciłem się do działu, gdzie przez miesiąc zyskałem więcej niż w ciągu pierwszego roku akademickiego. Nie miałem tu na powieść ile to kosztowało trudu, wewnętrznych zmagań i niepokojów.

Mogliby ktoś powiedzieć, że po roku studiów nikt jeszcze nie został jachowcem. Ale nie o to przecież idzie. Po roku studiów dziennikarskich stawało się bezradnym wobec zwykłych dziennikarskich zajęć. Ani ja, ani koledzy nie chcieliśmy pisać od razu wielkich i znakomitych reportażi, ale nie chcieliśmy również być kompletnymi ignorantami w tym zawodzie. Chcieliśmy w redakcji zyskiwać szlif dla tego, co już umiemy. Niekiedy, z dziennikarstwa nie umieliśmy nic.

Jeżeli dłużej zatrzymałem się nad praktykami pierwszego roku, to tylko po to, aby teraz zwięźle wyrazić drugie rozczarowanie. Drugi rok studiów przy zbieżeniu z praktykami redakcyjnymi okazał się podobnie bezpłodny jak poprzedni. I znowu i ja i koledzy stwierdziliśmy (unisono), że miesiąc w redakcji był bardziej owocny, niż rok na uczelni. Bo znowu (jak w poprzednim roku) ekonomiki kraju nie ujęliśmy się w zakładach pracy na konferencjach partyjno-ekonomicznych, a pisanie — przez próby krytycznego zrelacjonowania takich konferencji, ale usilowo nas zaspokoił gotowymi

formułkami, skwapliwie podsumowywymi na ćwiczeniach. Bo znowu (jak przedtem) uczono nas wielu przedmiotów z wyjątkiem tych, które by się najwięcej przydały.

Nie lubię się zastrzeżać, wszakże trzeba będzie to uczynić. Rozpatrzmy kwestię wykładow i ćwiczeń odbywanych na studiach dziennikarskich, ich przydatności — tylko dla zawodowców — warzatu. Warzatu obejmującego jednakże więcej niż wprawne posługiwanie się piórem, polegającego również na organizowaniu sobie materiału i terenu, umiejętności szybkiej pracy, indywidualności w wypowiedzaniu się itd.

Podrecznik jest zawsze łatwiej odczytać niż człowieka, a nauczyciel się pojmuje człowieka — to o wiele więcej niż pojąć wszystko co podaje podrecznik. Dziennikarstwo to nie studiowanie podrecznika, a ludzi. Nas uczono odczytywać i pojmuwać podreczniki. Stąd trzęsienie, najboleśniejsze rozczarowanie, ujawniające się w pełni po nauce pracy. Wtedy konfrontacja „pełnego” już przygotowania z wynagami zawodu — to „być albo nie być” absolutem.

Awanturalem po dwurorcznym prawie okresie pracy w redakcji dość poważnie. Wyrobiliem sobie nawet tak zwaną pozycję, dak to się stało — można zapytać — po tym co powyżej powiedziałem?

Tak, czytałem. Wszystko czytałem (i to czasami na wykładach), przeglądałem roczniki przeróżnych pism, robiłem notatki. „Wytęskowiłem i wystroniewałem” (hr): lektury na ćwiczeniach często odstawiałem na bok. Pisałem, dużo pisałem. A potem, już w redakcji, starałem się mieć uszy i oczy otwarte. Uczyłem się od wszystkich wszystkiego co okazywało się dobre, przydatne. I to dało wyniki.

Czyżym po wszystkich co powiedziałem wykazywał względem studiów dziennikarskich czarną niewdzięczność? Nie, tak nie jest. Co one mi dały? Dały mi trzeźwy nakaz pracy. Jednym wystarczało, aby nauczyc się dziennikarstwa, innym — dając możliwość pracować przez trzy lata w prasie... A może to i tak dużo?

ALEKSANDER ROWIŃSKI
„Dziennik Zachodni”

Wielki Festyn Żaków Nadodrzańskich



Zegar na wrocławskim ratuszu wybił godzinę siedemnastą, gdy przednie poczty pochodu żakowskiego dały znak do ogłoszenia wielkopomnego orędzia do mieszkańców Wrocławia. „Nie idźy Cracovią ważnością swą ponad nasz gród wynosiła się, lubo ważniejszą, i potencji pełną zdawać się miała, iakoż imprezyja nasza jutrzejsza dowleść ma wszem i wobec i każdemu z osobna”.

W słoneczne piątkowe popołudnie cichy zawyczał Wrocław rozebrzmiał gwarem tysięcy tłumów. Po raz pierwszy w historii tego miasta przeciągnął ulicami barwny korowód żaków w strojach mieszczań i mieszczek średniowiecznych. Studentom towarzyszyło tyśiące mieszkańców stolicy Dolnego Śląska. Przemarsz żaków przez miasto był zapowiedzią wielkiej imprezy studenckiej pt. „Nim zakwitną kasztany”, która odbyła się w dniu 21 bm. w Hali Ludowej.

Foto M. Szymkowski

BELLUM CONTRA OMNES ■ BELLUM CONTRA OMNES ■ BELLUM CONTRA

Patrząca ślinka i biały zapach

Radio uczy, radio bawi, radio wychowuje, radio... Bo ja wiem, co jeszcze? W każdym razie wszystko, co robi ta szanowna placówka powinno być pozytywne.

Fiszka to słowa jest wierna, niestrudzoną słuchaczką, wdzięczną za duchowy pokarm otrzymywany od PR za pośrednictwem eteru — i jeżeli stanęła dzisiaj na pozycji belli contra Varsovium Prima, Varsovium Secunda et cetera, jest to krok podyktowany ostrym bólem wątroby, który spowodowało karygodne, a objawiające się dość często niechlujstwo językowe w audycjach, tolerowane przez tę skądinąd miłą, pedantyczną instytucję.

Nie prowadzę specjalnego rejestru błędów językowych, ale z pełną odpowiedzialnością za swoje słowa twierdzę, że nie ma dnia, w którym nie zebrałabym ich kilkanaście. Nie mówię już o niezręcznościach stylistycznych, jak np. „nota ta”, „mama ma” czy „rada da”, bo do nich przywykło już ucho — tak są częste i właściwie radiowym tekstem.

Najniższym poziomem językowym poszczycić się mogą audycje dla... dzieci. Tak dla dzieci! Ze to niby taki mały nie nie „kapuś”, więc nie ma potrzeby wysłać się zbytnio. Nie dziwnego: po co takie skrzaty mają się uczyć pięknego, lub choćby tylko poprawnego języka?

A oto kilka przykładów — przysłówowa garść podejrzanych wonięjących i kłujących kwiatków dla ludzi od lat picigu do stu:

„Wyciąg ten sznurzek”.
„Nie odzywaj się rzeki”.
„Panom się zdaje, że umiają tańczyć”.
„Aż ślinka ciemnie patrzak na te słoki”.
„Grządka biała od zapachu tulipanów”.
„W tą stronę”.

„Jakie zamiary przysyćcały mu, tworząc te książki”.
Na razie wystarczy.

Na koniec chciałabym zapytać, „Jakie zamiary przysyćcają działowi literackiemu Polskiego Radia, nie opracowując dokładnie swych audycji” pod względem stylistycznym i gramatycznym...

MARIA NIEMIROW

Czego nie posiada Zachód

Czyż może być bardziej perfidną i bardziej cyniczną apologia wojny atomowej? „Sama broni wodorowa nie wystarczy” — głosi tytuł w piśmielach emigracyjnych „katolików”. Knieźstwo i zaskonowania jej w napasni na ZRR i kraje demokracji ludowej jest dla nich faktem oczywistym, nie podlegającym najmniejszej dyskusji. Zakaz produkcji broni masowej zagłady byłby niezgodny z wolą bożą, bo „to właśnie Bóg sprawił, że człowiek zdobył tajemnicę rozbięcia atomu”. Być może, w niezmierzonych planach bożych przewidziane jest wyniszczenie kilkuset

ceństwa. I tak przystąpiono do publikowania pamiętników różnych hitlerowskich „asów wojennych”, którzy w czasie ostatniej wojny walczyli przeciwko Anglii. Wydano ostatnio pamiętniki Adolfa Gallanda znanego hitlerowskiego pilota — pt. „Pierwszy i ostatni”, wspomnienie przyjaciele Gallanda, Hansa Kuecla, zatytułowane „Pilot nurkującego bombowca” oraz notatnik jednego z najokrutniejszych hitlerowskich piratów powietrznych Heinza Knochta, noszący pompatyczny tytuł „Byłem pilotem Führera”. Zadaniem tych publikacji jest udowodnić Niemcom Anglikom, że ostatnia wojna nie była wcale tak szlachetna, a hitlerowscy zbrodniarze wojenni, to tylko „odważni żołnierze”.

Anglicy, jak pisze „Daily Worker”, z obrurzeniem powitali ukazanie się tych książek. Nie zniechęca to jednak władz angielskich do dalszego protegowania podobnych wydań. Ciekawe tylko, czy rząd angielski wyda również opuszczone angielskiego korpusu ekspedycyjnego pod Dunkirką oraz wspomnienie o mordowaniu jenców angielskich we Włoszech, które pewnie z chęcią napisze von Manstein, proponowany z-ca dowódcy sił lądowych NATO i były dowódca wojsk niemieckich na froncie włoskim w latach 1943-45?

S. W.

Inżynier czy zakonnik?

Bawiąc w Poznaniu miałem możność wysłuchać „Aidu” w test zrywaniu pewnej studentki Wyższej szkoły inżynierskiej. Była to z gruntu opanowana osoba lat 26. Toteż zdziwiłem się, gdy przy arli zaczynającej się od słów: „Boska Aid” zaczęła wierać się niespokojnie i coraz to zerkać na zegarek. Kiedy na scenie dokonało się zamknięcie bohaterów Verdigo w lochu, zaproponowałem jej wspólne zjedzenie kolacji. Spotkała mnie wówczas rzecz bez precedensu: gwałtowna odmowa.

Na koniec kobieca nautra zwyciężyła tajemnicze opory. A gdy zasiadaliśmy przy stoliku usłyszałem wyjaśnienie owych niecierpliwych zerknięć na zegarek i wzdrażeń przed pójściem na kolację. Otóż moja miła towarzysza mieszka w Domu Studenckim przy ul. Szamarskiej. Gdy któraś z lokatorów tego domu wraca po jedenastej, portierka zawiadamia dziaekant (i wynikała z tego nieprzyjemności dla delikwentki. Dwie niebezpieczności: w tym czasie w nocnym lokalu” (n. b. w tym konkretnym wypadku zamykanka o 24).

Moja 26-letnia towarzyszyka jest pewna, że kształca ją na inżyniera. Ja jednak obawiam się, że na zakonnicę.

T. M.

N.

Pytania zadawane nam...

(Dokończenie ze str. 1)

łów w życiu. Wiemy przecież, że sprawy wychowania i przekształcania świadomości człowieka nie należą do najprostszych, że różne są charaktery ludzkie.

za mądrość życiową płaci się latami młodości. Wielu z nas musiałoby doznać rozczarowań i zawodów czegoś za przesadną ufność, za nieumiejętność czytania w ludziach, często za uproszczenia i nie dość głęboki stosunek do ludzi i spraw. Inym drogą scieśliła się prosto. Nie ma przepisu na życie ludzkie, ale zawsze gorące otwarte serce jest rzeczą najpiękniejszą i najpotrzebniejszą w życiu. Niemniej jest jednak potrzebna powaga i mądrość wobec życia. Musimy być przygotowani do walki z trudnościami. Trzeba życie traktować z całą powagą i odpowiedzialnością; w każdej sprawie, nawet najbardziej osobistej. Określiłabym to mianem i-deału życia, ideału nie tylko ogólnego, społecznego, ale właśnie także osobistego, ideału życia na codzień.

Czy stworzyliśmy atmosferę, aby młoda dziewczyna i chłopiec wkraczający w życie wiedzieli, jakie trudności czekają człowieka, żeby mieli siłę i wolę z nimi walczyć? Czy staraliśmy się o to, czy pomagaliśmy w tym, aby mieli oni swój własny, osobisty ideał życia, ideał nie sprzeczny z ogólnym, ale zapełniony indywidualnymi upodobaniami, tęsknotami i marzeniami?

Któż z nas nie dumal nad dziejami Judyta i Joasi, nie zastanawiał się nad sensem tego wyrzeczenia? Któż z nas nie miał takiego okresu w życiu, w którym uważał, że szczęście osobiste przeszkadza w pracy społecznej, „w sprawie”. Bywało istotnie tak i bywa teraz, że rewolucjonista musi rezygnować z wielu spraw osobistych. Nasze młode pokolenie nie musi tego czynić. Powiedzmy sobie po prostu, że nigdy jeszcze młodym ludziom nie żyło się tak pięknie. Myślę, że szczęście naszego pokolenia polega nie tylko na tym, że wiemy już na pewno, iż droga Judyta nie wiedla do celu, mimo całej szlachetności jej postawy.

Życie w naszym ustroju daje człowiekowi to, czego żaden ustrój dotąd nie dał mu i nie mógł dać. Myślę, że nawet indywidualne nieszczeście ludzkie ma u nas inne cechy. Chodzi mi o to, że istota naszego ustroju jest taka, że człowiek człowiekowi zamiast wilkiem staje się bratem. Ustrój nasz zbliża ludzi do siebie, zespała w pracy i walce, zespała wokół wielkich zadań społecznych. Człowiek nigdy w społeczeństwie nie jest samotny, w naszym społeczeństwie nie jest nim szczególnie. Nasze życie społeczne stwarza wielorodność powiązań społecznych, kontaktów, daje duże możliwości odczuwania pożytku ze swojej pracy. Radość, która płynie z poznawania spraw społecznych i ludzkich, wreszcie zadowolenie ja-

ZENONA MACUŻANKA

W NUMERZE początek powieści „ANITA MARIA”

GAZETA NIEDZIELNA

SAMA BRONI WODOROWA NIE WYSTARCZY

Komunizm! Trzeba przeciwstawić potęgę moralną, jakiej Zachód nie posiada

„KONFERENCJA” — konferencja to spotkanie, a nie wykład. W konferencji uczestniczą wszyscy, a nie tylko jeden. W wykładzie wygłasza go jeden, a słuchają inni. W konferencji uczestniczą wszyscy, a nie tylko jeden. W wykładzie wygłasza go jeden, a słuchają inni.

„POTĘGA MÓDLITYW” — modlitwa to wyrażenie prośby, błagania, pochwały. Modlitwa może być indywidualna lub zbiorowa. Modlitwa może być wewnętrzna lub zewnętrzna. Modlitwa może być prośbą o coś, co nam brakuje, lub pochwałą za coś, co nam się udało.

„STRATEGICZNY” — strategia to sztuka wojny, sztuka planowania. Strategia może być wojenna lub cywilna. Strategia może być ofensywna lub defensywna. Strategia może być krótkoterminowa lub długoterminowa.

„APRAWA POKOJU” — praca to czynność, którą wykonujemy, aby osiągnąć jakiś cel. Praca może być fizyczna lub umysłowa. Praca może być indywidualna lub zbiorowa. Praca może być płatna lub niepłatna.

„POMOCY BOŻEJ” — pomoc to działanie, które pomaga komuś w trudności. Pomoc może być materialna lub duchowa. Pomoc może być indywidualna lub zbiorowa. Pomoc może być płatna lub niepłatna.

Na podbój Wielkiej Góry



Drugim wzniesieniem na kuli ziemskiej pod względem wysokości jest szczyt Czogo-Ri (8611 m) znany również pod nazwą K2. Stanowi on kulminacyjne spiętrzenie himalajskiego masywu Karakorum w pakistańskim Kaszmirze. Olbrzymia piramida K2 zbudowana jest z granitów i gnejsu i wyróżnia się urzekającym, strzelistym kształtem.

Historia zmagania o zdobycie wierzchołka Czogo-Ri obejmuje 52 lata ludzkich wysiłków. Wyprawy z r. 1902, 1909, 1929, 1938 nie dały upragnionego rezultatu, ale uzupełniły wiedzę o tym szczycie.

W roku 1939 do kolejnego natarcia na K2 ruszają Amerykanie pod kierownictwem świetnego alpinisty pochodzenia niemieckiego — Fritza Wiessnera. Dziewięciu Szwepów dowodzonych jest przez znakomitego Sirdara Pasang Kikuli. W wyprawie bierze udział pięciu alpinistów oraz jeden angielski oficer łącznikowy. Już w czasie pokonywania skalistego „zebra Abruzzów” potężne śnieżyce opóźniają akcję i powodują wycofanie się trzech alpinistów wskutek odmrożeń i choroby górskiej.

Niedługo potem dalszych dwu alpinistów wraca również do bazy; organizm ich nie zdołał się przystosować do dużych wysokości.

W obozie VII na wysokości 7530 m Wiessner ma już tylko dwóch towarzyszy zdolnych do dalszego wysiłku. Wraz z Wolfem i doskonałym Szwepem Pasangem Kikuli, który wskutek bardzo ciężkich warunków atmosferycznych zakładają już na wysokości ok. 7740 m, pozostaje Wolfe. Wiessner z Pasangiem zakładają oboz IX na wysokości 7940 m u stóp piramidy szczytowej i stąd w dniu 19 lipca rusza atak na szczyt.

Wobec nadzwyczaj ciężkich warunków posuwania się po śniegu Wiessner ołiera trudną bardzo, lecz pewniejszą drogę poprzez ścianę skalną po lewej stronie grani szczytowej. Szalonym wysiłkiem osiąga późnym popołudniem wysokość 8340 m. Pasang wzbrania się iść dalej i zapada decyzja odwrotu do obozu IX — by podjąć nazajutrz ponowny atak — tym razem poprzez pola firnowe, po prawej stronie grani. W czasie odwrotu w ciemnościach spadają w przepaść raki Pasanga. To ostatnie zdecydowało o odwrocie. W obozie VIII czeka wygłodniały już Wolfe z wiadomością, że do tej chwili nikt nie nadszedł z bazy z uzupełnieniem zapasów. Większe zapasy żywności pozostawiono w obozie VII. A więc znów odwrot!

Tu jednak zarysowuje się już wyraźne widmo katastrofy: oboz VII jest całkowicie opróżniony z żywności, sprzętu i materacy pneumatycznych. Zapada noc w czasie której zdecydowano, że Wiessner i Pasang udadzą się w dół po pomoc. Wolfe postanawia oczekiwać ich korzystając z resztek zapasów w obozie VII. Przy schodzeniu Wiessner i Pasang Dawa mają już pełny obraz niepowodzenia: wszystkie obozy są puste.

Kiedy pół żywi, podmrażani, załamani psychicznie dowlekli się do bazy — okazało się, że wśród Szwepów uczestniczących w wyprawie wybuchła panika. Pozostawieni samopas w obozach pośrednich tragarze nabrali przekonania, że „bóstwo Czogo-Ri” unicestwiło alpinistów i Pasanga w lawinie. Przekonanie to przerodziło się w panikę, której nikt nie potrafił opanować. Tragarze porwali najwartościowsze zapasy oraz ekwipunek z obozów i zwlekli się do bazy.

Ala to nie koniec katastrofy. Wszak w obozie VII na wysokości 7530 m leży samotny i wyczerpany Wolfe. Sirdar Pasang Kikuli przejmując inicjatywę i wraz z trzema Szwepami dociera po dwudniowej morderczej wspinaczce do Wolfego. Wolfe jest już tak wyczerpany, że odmawia schodzenia. W obozie VII

(dokończenie w następnym numerze)

POKRYWY

MAREK BIJGO

Paragrafy i ludzie

Na Pomorską Akademię Medyczną pojechałem z listą spraw — ciężkich, zasadniczych, o ogólnym znaczeniu. W pięknym biurze PAM nikt z zajętych studentów nie mógł mi wskazać siedziby ZU ZMP. Niektórzy obrzucali mnie podejrzliwym spojrzeniem. „Zarząd Uczelniany ZMP”? Z ich min można było wywnioskować, że nie wiedzą co to jest takiego ten „Zarząd Uczelniany”. „To chyba gdzieś za Zalewem Szczecińskim?” Ale tam dokąd nie trafi zwykły student — dziennikarz na pewno trafi. Trafiliem.

Rozmowa z wiceprzewodniczącym i kierownikiem organizacyjnym wyraźnie się nie kleiła. Chciałem poprzez Zarząd Uczelniany dotrzeć do jakiegoś kółka ZMP-owskiego. Dopiero później zrozumiałem, że wybrałem niewłaściwą drogę. Trudno żeby mnie skontaktowali, skoro sami nie mają kontaktu. W egzekutywie POP oświadczone mi, że ZU odebrał się od kół. Nie miałem żalu do nich. Nie mogą przecież specjalnie dla mnie nawiązać kontaktu z kółkami ZMP-owskimi. Nie, aż tak wymagający nie jestem.

W Domu Akademickim trudno było przejść korytarzem. Studenci mieli do mnie ciągłe interesy. Były one z gatunku drobnych, nieważnych i dotyczyły biurokracji (tyle pisałem już o biurokracji), prawdziwego rozdziału stypendiów (tyle pisałem już o stypendiach!). Powiedziałem im, że przyjechałem tu dla spraw zasadniczych — nie pomogło. Marynarka moja jest zapięta na jeden guzik — tak nim kręciłem, że musiałem go cztery razy przyszywać.

Coraz częściej wpada mi w ucho nazwisko prodziekana Konarskiego. — Kasjerka chciała pójść nam na rękę i wypłacić stypendium o jeden dzień wcześniej bo mieliśmy tego dnia zajęcia. Prodziekan się nie zgodził.

— U nas na II roku kiedyś sprawdzano listę obecności i wszystkim nieobecnym 47 studentom wstrzymano stypendium. Cała komisja stypendialna była „przeciw”. Cóż, kiedy „za” był prodziekan Konarski, przewodniczący tej komisji.

— To zdecydowany człowiek — mówię. — Tak, bardzo zdecydowany — odpowiada mi inna koleżanka. — Mojej przyjaciółce po oblanu jednego egzaminu cofnięto stypendium. Nie miała żadnej pomocy z domu, ponadto była chora na złośliwą anemię.

— Skąd prodziekan Konarski — nie wytrzymałem — mógł o tym wiedzieć? Czy na liście stypendialnej jest napisane, kto choruje na złośliwą anemię? Śmieszne pretensje! Przyjechałem tu w sprawach zasadniczych, a wy mi zawracacie głowę drobiazgami.

— Stan jej potem się pogorszył — odpowiedziano mi.

Ala już nie chciałem dalej słuchać. Czy w chwili cofnięcia stypendium można takie rzeczy przewidzieć?

— Mnie wysłano do sanatorium, a tymczasem nie wypłacono stypendium — skarżył się ktoś inny.

— Wam też? — pytam pierwszego lepszego przechodzącego studenta.

— Nie, mnie nie. Wreszcie — myślę sobie — jeden człowiek, który nie ma żalu do prodziekana Konarskiego. Ale wyprowadził mnie z błędu.

Jestem Janiak z V roku — przedstawił mi się. — Zgubiłem indeks. Prodziekan zażądał, żebym teraz zebrał wszystkie podpisy to znaczcy zaliczenia wykładów, kolokwium, egzaminów za wszystkie pięć lat. Chociaż, jak wiadomo, są protokoły egzaminacyjne i zaliczeniowe. Jeden z profesorów znajduje się w Białymstoku, drugi w rzeszowskim, trzeci w sanatorium w Zakopanem, czwarty już nie żyje.

Ala nawet pielgrzymka niewiele by pomogła, bo ci, którzy są na miejscu, nie chcą mi dać podpisów, bo powiadają, że już nie pamiętają, czy bynałem obecnie na wykładach w grudniu 1949 roku.

Jestem USP-ówka — powiedziała inna studentka. — Nie mam środków do życia poza stypendium. Na IV roku cofnięto mi je po jednym oblanym egzaminie.

— Wincie — odpowiedziałem — że istnieje odpowiednie zarządzenie Centralnego Zarządu Szkół Medycznych w tej sprawie.

— Ale istnieje także inne zarządzenie, które mówi, że USP-owcom nie wolno odbierać stypendium bez zgody departamentu Studiów Przygotowawczych. I wreszcie najważniejszy argument: nie mam z czego żyć, co teraz ze mną będzie?

— Na każdym roku i na każdym kroku utrudnia nam życie.

— Prodziekan Konarski ma za usze jakiś paragraf, którym się zastania.



— Nie widzi człowieka. Jednym słowem nic nowego. Ludzie wórcz przeciwstawnych sobie przekonań zgadzali się na punkcie oceny działalności prodziekana Konarskiego. Mówili zgodnie członkowie partii i reakcyjne niedobitki: wierzący, heretycy, ateści i marksiści Pokłócone małżeństwo od razu pogodziło się, gdy rozmowa zesłała na temat administracyjnej działalności prodziekana (muszę się w tym wyraźnie zastrzec, że zarzuły te nie dotyczą jego działalności jako profesora).

Jestem w Komitecie POP. Mam do rozwikłania szereg bardzo trudnych i zawiłych, ciężko-politycznych spraw. Twarze są zaciete, nastroj jest deprymujący. Ale przypadkowo pada słowo „prodziekan Konarski”. Twarze się natychmiast rozjaśniają. Antagoniści z uśmiechem prześcigają się w opowiadaniu wesołych anegdotek i historyjek o biurokratyzmie prodziekana.

Dla przykładu: Prodziekan Konarski wyszedł z gabinetu prodziekana Konarskiego i jako profesor Konarski wszedł do gabinetu profesora Konarskiego, napisał list do prodziekana Konarskiego w sprawie studenta X, potem jako prodziekan Konarski wrócił do swego gabinetu i na piśmie profesora Konarskiego złożył adnotację: „Odmówić prośbie prof. Konarskiego w sprawie studenta X. Podpis: Prodziekan Konarski”.

Gdy siedziałem w Komitecie POP miałem w pewnej chwili ochotę krzyknąć: „Towarzysze, czemu tolerujecie coś podobnego?” Ale czy warto było naruszyć tak miły nastroj? Towarzysz Rzeszutek, który posiada rzetelną znajomość życia na uczelni — w tej sprawie jakoś nie ma zdecydowanego stanowiska.

Nieraz z nim rozmawialiśmy, ale widzieli, towarzyszu, nie mamy właściwie podstaw do wyciągania konsekwencji. Prodziekan zna ustawy i na każdy zarzut znajduje odpowiedni paragraf, zarządzenie, uchwałę, podpunkt, z którego jasno wynika, że ma rację.

W związku z zarządzeniem Centralnego Zarządu, dotyczącym systemu cofania stypendium (sprawiają, że mając o wiele szerszy aspekt, zajmujemy się osobno w najbliższej przyszłości) — działalność prodziekana nabrała w ostatnim czasie szczególnie silnych rumieńców. Ale i dawniej i w innych sprawach i w samej interpretacji tego zarządzenia prodziekan Konarski pozostał jak najbardziej wierny swoim zasadom.

W trakcie rozmowy w Komitecie POP, gdy opowiadamy sobie wesołe anegdotki — troski, którymi obarczają mnie studenci, odsuwają się na dalszy plan, wydają się mało ważne. Może zbytnio przejęłem się tą sprawą?

A już całkiem nikle przedstawiają mi się one w Warszawie w pokoju Centralnego Zarządu Szkół Medycznych. Szczecin wydaje mi się stąd całkiem daleki, z tym jego kooedukacyjnym Domem Akademickim, ze studentami o niespokojnych, rozbieganych oczach, które

mówią: „U nas na uczelni nie jest się pewnym dnia ani godziny, każdy po stypendium idzie z drżeniem serca”. Tłumaczą mi w Ministerstwie, że przyczyną obiektywnie, że niski limit stypendiów na Akademickich Medycznych w porównaniu z innymi szkołami wyższymi, (do tej sprawy jeszcze wrócimy).

Z jakiego tytułu właściwie można wnosić pretensje do prodziekana?

Lubi porządek — to na pewno zaleta. Jest gorliwy wobec najmniejszej litery podpunktu zarządzenia — zaleta jeszcze większa.

„Tak więc, kochani koledzy, nasze pretensje do prodziekana, niestety, nie posiadają prawnego uzasadnienia. W żadnym kodeksie, zarządzeniu albo chociażby podpunkcie paragrafu nie mówi się o tym, że studenta należy widzieć i unikać indywidualnie w jego trudności. Co prawda jest jakaś tam ponoc ustawa. Mówi się tam ponoc coś niecoś o trosce o człowieka (mam na myśli ustawę z dn. 22 lipca 1944 r.). Ale jeśli towarzysze, do których zaś należy ocenianie i korygowanie działalności prodziekana, żądają od nas tekstu ustawy i wyraźnego wskazania paragrafu — to co wtedy? Trzeba będzie świecić oczami. Żyjemy przecież w praworządnym państwie i zarzuć nam wiatr rzucić nie można.

Pocztą „Pokrzyw”

Wielmożny Panie Redaktorze! Jestem krakowianinem z dziada pradziada. Zawsze o tym mogą prochy ś. p. przodków mówić w najbogatszych grobowcach tożsame spoczywające. Cześć ich światłej c. k. pamięci!

Moja opisana wyżej postawa patriotyczna i zapały się niechybnie, gdybym mieszkał w takiej np. Warszawie, a nie Krakowie. Tu, na każdym niemal kroku (z wyjątkiem Nowej Huty) moi Buclawozni są na niedostępne dla dzisiejszych ludzi wyżyny miłości Ojczyzny, tu bogobojne oko moje dostrzega bliskie sercu napisy: „Szkoła Żenka im. Św. Tomasa”. Stowarzyszenie Św. Zygity itp. Cześć ich światłobliwej pamięci!

Ala i to nie wystarcza. Od czasu do czasu chodzę tam, gdzie Duch ludzki wyrywa się z ziemskiej powłoki, unosi się wyżej niż iglica na Pałacu Kultury i Nauki, obecując zacięża z Absolutem i czcłowieku ze spoczętym tu Józefem Piłsudskim. Popiół i pył Historii umacniają moją wiarę w nadejście Nowego Zycia — sprzed II wojny światowej.

Gdy tak któregoś dnia nurzałem się duszą naga w popiele i pył Historyi zwiastując katechizm Pawła Kozłowskiego okiem utkniętym w Absolut, patrzyłem ludzi ubranych z chłopaka, oprowadzanych po dzisiejszym piętnem nieskalanych grobowcach Historii.

Po dokonaniu tego spostrzeżenia już chciałem oko zatopić w Absolutcie, uszy poić muzyką Śieć (wzwyższyć oczywście) i nos odzierać zapachami kadzideł, gdy słowa przewodnika jak na zew Bogoojczyźniany przywoływały zmysły moje na ziemię.

— Oto — mówił przewodnik — widzicie przed sobą figurę ukrzyżowanego Chrystusa Pana. Zmowny „Ojciec Nasz”, „Zorowas” i „Wierzę w Boga”. I kłajecie się! Oto nad Ukrzyżowanym unosi się czarna mgła...

— Panie, to nie mgła, to czarna siatka! — padły bezbożne słowa. — Wzrost zgrozadzonych powłoki bezwstyna aprobata. — Przewodnik stał przez chwilę zażenowany, jednak (część mu) nie załamał się patriotycznie...

— Ta siatka — mówił — zawieszona została przez katolików-patriotów po trzecim rozbiore. To historyczna siatka! Symbol utraty niepodległości... i zaprawę powładam wam, że opadnie ona wówczas, gdy Polska odzyska niepodległość. Cóż, mamy niby tę naszą kochaną Polskę Ludową, a siatka jednak nie opada...

Ja westchnąłem uciążliwym westchnieniem patriotycznym, a jeden z wycieczkowiczów wyjął kanapkę z klebasą...

Następny postój. — Oto — mówił przewodnik — widzimy głowę królewską wspartą na wspaniałym Orle. Rodacy! Orzeł to symbol mocy i pętegi, a korona na jego głowie to symbol niepodległości... Rodacy! Polanie! Lećcie! Cóż oznacza Orzeł pozbawiony korony? Oznacza brak niepodległości! Bracia! Patrioti! To ukoronowany Orzeł! To nie jakiś tam kawałek pokoju!...

Rozległ się patriotycznie brzmiały szmer. Spożrałem skąd pochodzi. To szmerat przewodnik, więc ja przyłączyłem się do jego szmeru. Byłem wówczas dumny, że umęczona ziemia nasza wydała tak wspaniałych synów. Chciałem pocłować go w białoczerwoną opaskę (oczywiście w tę białą połowę), ale przewodnik poszedł z wycieczką dalej.

Ze zgrozą obserwowałem, jak niektórzy z wycieczki pokazując na niego, kreśliłi kółka na czołach... Motochi!

Wielmożny Panie Redaktorze! List napisałem po to, żeby podnieść Pana na Ducia, żeby pokazać Panu, że nie tylko Adamy Polewicz rodzą się w Krakowie!

Pragnę również zaprosić Pana do Krakowa, ponieważ jestem przekonany, że i Pan czasem lubi poobcować sobie z Absolutem. Vale!

Z Bogoojczyźnianym pozdrowieniem — PRAWDZIWY POLAK Dan w Krakowie, 7 dnia Maja 1955 A. D. Podał do druku Romuald Kojasiewicz

Fraszki

RYSZARD PODLEWSKI

„Bania z fraszkami”

Z programu Zespołu Satyrycznego Uniwersytetu Poznańskiego

O pewnych modach i brodach

Aktywistom brody rosły, wszystko to pojęły osły, wysmiewały w „pewnej wiośnie”. Dziś dowiepom broda rośnie,

Periodysta

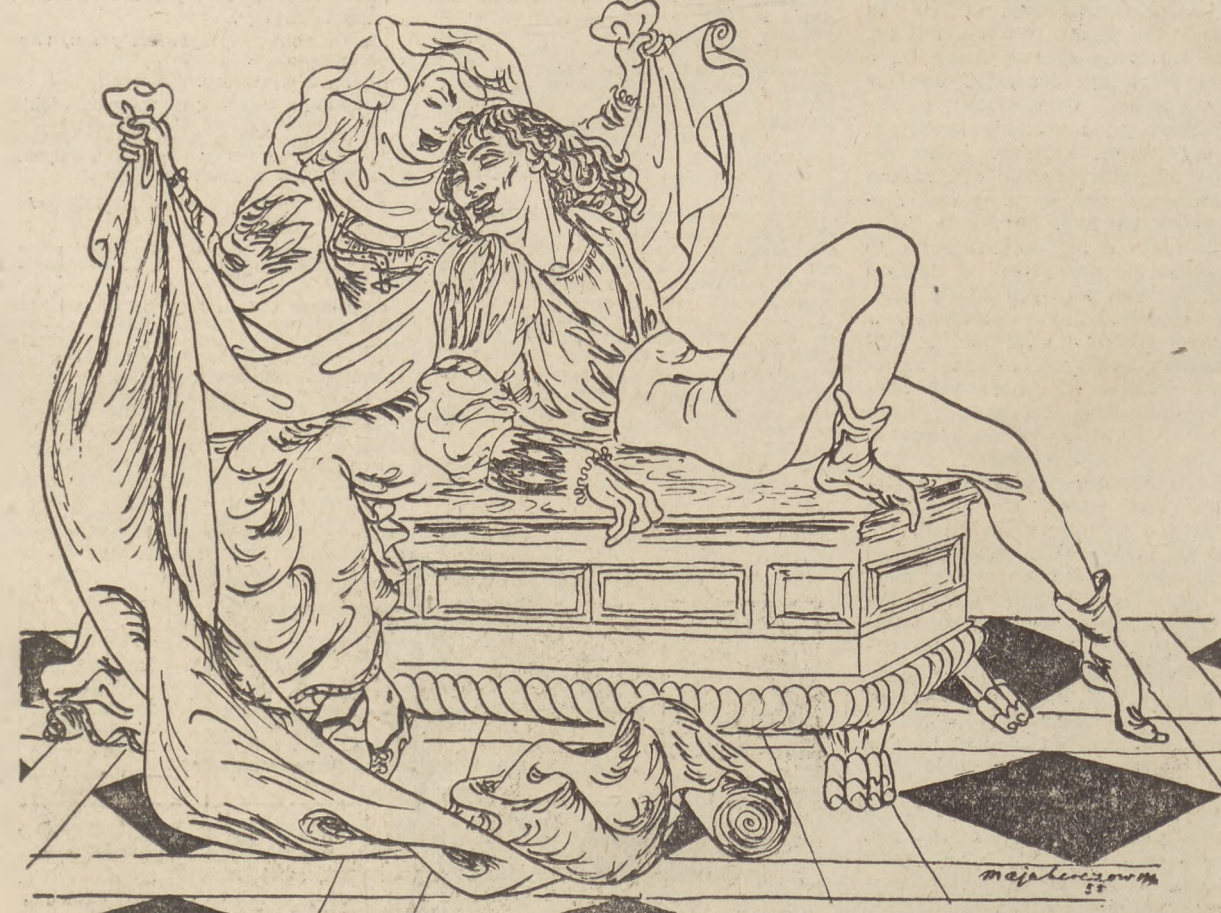
W ramach odwilży świntuszy i lży,

O konkursie w POPROSTU

Gdy czytam POPROSTU narzuca się to mi, że wnet będzie konkurs z całej anatomii.

Na jury

Aż dwudziestu znawców w komisji zasiada sąsiada



WACŁAW POTOCKI — „Ogród Fraszek”

Rys. MAJA BEREZOWSKA

PŁÓTNO

Chwali się jedna pani chlubna, że istotnie Dziesięć tysięcy złotych ma w białym płótnie. Mogę się ja, rzeczy frant, szacować tu więcej, Nie dalbym, co ja mam w płótnie i za sto tysięcy,

Uwaga!

Uwaga!

Wyniki pierwszej OSOSO

Nazwiska i punktacje Mistrzów z poszczególnych uczelni ogłosimy w następnym n-rze POPROSTU